

Izaak Babel
OPOWIADANIA ODESKIE
I INNE
* *

Izaak Babel
Opowiadania odeskie i inne
Izaak Babel
Opowiadania odeskie
i inne
Tłumaczyli
Seweryn Pollak
Jerzy Pomianowski
Marian Toporewski
Wiktor Woroszyński
KSIĄŻKA i WIEDZA • 1973
Tytuł oryginału rosyjskiego IZBRANNOJE
Armia Konna

List

Oto list podyktowany mi przez posłańca z naszego oddziału ekspedycyjnego, Kurdiu-kowa. List ten nie powinien ulec zapomnieniu. Przepisałem go bez upiększeń i przekazuję dosłownie, zgodnie z prawdą:

„Droga mamó, Jewdokijo Fiodorowno!

W pierwszych słowach mojego listu śpieszę mamę zawiadomić, że, Bogu dzięki, jestem żywy i zdrowy, co bym także samo chciał od mamy usłyszeć. A także samo nisko wam się kłaniam aż do samej ziemi... (Tu następują imiona krewnych, chrzestnych, kumotrów. Pomińmy to. Przejdźmy do drugiego ustępu).

Droga mamó, Jewdokijo Fiodorowno Kur-diukowa. Śpieszę mamie napisać, że znajduję się w Czerwonej Konnej Armii towarzysza Budionnego, a także samo znajduje tu się mamin kum, Nikon Wasylicz, który jest w teraźniejszej chwili za czerwonego bohatera. Oni wzięli mnie do siebie, do ekspedycji politoddziału, gdzie my rozwozimy na pozycje literaturę i gazety — „Moskiewskie Izwiestia CIK”, „Moskiewską Prawdę” i naszą rodzoną bezlitosną gazetę „Czerwony Kawalerzysta”, którą każdy żołnierz na frontowej pozycji ma życzenie przeczytać, a po-

tem to z bohaterskim zapalem rąbie podlą szlachtę i ja żyję przy Nikonie Wasyiczu bardzo doskonale.

Droga mamó, Jewdokijo Fiodorowno. Przyślijcie mi, co tylko mama może według swojej możliwości. Dopraszam się, żeby zarznąć łaciatego wieprzaka i zrobić mi przesyłkę do politoddziału towarzysza Budionnego, odbiorca Wasyli Kurdiukow. Każdy dzień kładę się spać niejedzący i bez żadnego odzienia, tak że fest mi zimno. Niech mi mama napisze względem mojego Stiopy, czy żyje, czy nie, dopraszam się, żeby mama go doglądała, i niech mi mama napisze, czy się strychuje, czy przestał, a także samo względem świerzbu na przednich nogach, podkuli go czy nie?

Upraszam, żeby droga mama Jewdokija Fiodorowna obmywała mu koniecznie przednie nogi mydłem, które zostawiłem za obrazami świętymi, a jeżeli tatuś mydło wy-mydlili, to kupcie w Krasnodarze i Bóg mamę wynagrodzi. Mogę mamie także samo opisać, że tutaj kraj całkiem biedny, chłopci ze swoimi koniami chowają się przed naszymi czerwonymi orłami po lasach, pszenicy widać mało, a jak jest, to strasznie drobna, my się z niej śmiejemy. Gospodarze sieją żyto i także samo owies. Na kijach tu rośnie chmiel, tak że wychodzi bardzo akuratnie. Z niego pędzą samogon.

8

W drugich słowach mojego listu śpieszę napisać mamie względem taty, że tato zarabiali brata Fiodora Timofieicza Kurdiuko-wa, będzie temu z rok czasu. Nasza czerwona brygada towarzysza Pawliczenki szła na miasto Rostów, kiedy w naszych szeregach zdarzyła się zdrada. A tato był w te czasy u Denikina za dowódcę kompanii. Te ludzie, co ich widzieli, to mówią, że tato mieli na sobie medale jak przy starym reżymie. I przez tę zdradę wszystkich nas wzięli do niewoli i brat Fiodor Timofieicz nawinął się tacie. I tatuś zaczęli Fiedię rznąć, mówiąc: draniu, psie czerwony, sukinsynu i rozmaicie, i dorzynali, aż się ściemniło, do-pokąd brat Fiodor Timofieicz nie skonał. Ja napisałem wtedy do mamy list, jak mamin Fiedia bez krzyża leży. Ale tato złapali mnie z listem i powiedzieli: wyście — matczyne dzieci, wyście — jejne kurewskie nasienie, ja waszą matkę brzuchaciłem i będę brzucha cić, moje życie stracone, ja własny ród za prawdę wygubię, i jeszcze rozmaicie. Ja znosiłem te męki od niego jak Zbawiciel Jezus Chrystus. Tylko że prędko potem od taty nawiałem i doskoczyłem do swojego oddziału towarzysza Pawliczenki.

I nasza brygada dostała rozkaz iść do miasta Woroneża na uzupełnienie i dostaliśmy tam uzupełnienie, a także samo konie, chlebaki, nagany i wszystko do nas przynależące.

9

Względem Woroneża mogę mamie napisać, droga mamó Jewdokijo Fiodorowno, że to miasteczko bardzo wspaniałe, będzie większe jak Krasnodar, ludzie tam

bardzo przepiękni, rzeczka sposobna do kąpienia. Dawali nam chleb po dwa funty dziennie, mięsa pół funta i cukru odpowiedzianie, tak że na wsta-wanego pili my słodką herbatę, także samo na wieczór i o głodzie zapomnieli my, a na obiad chodziłem do brata Semena Timo-fieicza za blinami albo gęsiną i potem to kładłem się odpocząć. O te czasy Semena Timofieicza za jego śmiałość cały pułk chciał mieć za dowódcę i od towarzysza Budionnego wyszedł taki rozkaz i on dostał parę koni, całe umundurowanie, oddzielny wóz na łąchy i Order Czerwonego Sztandaru, a ja przy nim byłem za brata. Jak tera który sąsiad mamie ubliży, to Semen Timofieicz może go spokojnie zarżnąć. Potem zaczęliśmy pędzić generała Denikina, naszatko-waliśmy ich tysiące i zapędziliśmy w Czarne Morze, ale tylko taty nigdzie nie było widać i Semen Timofieicz ich szukali na wszystkich pozycjach, dlatego że im bardzo było tęskno za bratem Fiedią. Tylko że, droga mammo, już mama zna tatę i jego uparty charakter. Bo co on też zrobił — nachalnie po-farbował sobie brodę z rudej na karą i znajdował się w mieście Majkopie w cywilu, tak że nikt z tamtych mieszkańców nie wiedział, że on jest sam przez się strażnik przy starym

10

reżymie. Tylko że prawda zawsze na wierzch wyjdzie, mamin kum Nikon Wąsy licz trafem zobaczył go w chałupie u jednego i napisał list do Semena Timofieicza. Powsiadali my na konie i przelecieli dwieście wiorst — ja, brat Sieńka i chłopaki ze stancy, kto miał

chęć.

I cośmy też zobaczyli w mieście Majkopie? Zobaczyliśmy, że tyły nie mają dla frontu ani tyle współczucia i wszędzie tam zdrada i pełno Żydów, jak przy starym reżymie. I Semen Timofieicz w mieście Majkopie miał porządną przeprawę z Żydami, co nie puszczały taty i trzymali go w więzieniu pod kluczem, mówiący: przyszedł rozkaz nie rąbać jeńców, my go sami będziemy sądzić, nie miejcie złości, on swoje dostanie. Ale jednak Semen Timofieicz postawił na swoim i pokazał, że jest dowódcą pułku i ma od towarzysza Budionnego wszystkie orderzy Czerwonego Sztandaru i odgrażał się, że wszystkich zarąbie, co się ujmują za taty osobistość i nie wydają jej, a także samo odgrażali się chłopaki ze stancy. Ale jednak Semen Timofieicz tatę dostali i zaczęli tatę batożyć, i ustawili ha dworze wszystkich żołnierzy, jak się należy według wojskowego porządku. I wtedy Sieńka chlusnął tacie Timofiejowi Rodionyczowi wody na brodę i z brody pociekła farba. I Sieńka spytał Timofieja Rodionycza: — Dobrze wam, tato, w moich rękach?

11

— Nie — powiedział tato — źle mi. Wtedy Sieńka spytał:

— A Fiedi, kiedyście go rżnęli, dobrze było w waszych rękach?

— Nie — powiedział tato — źle było Fiedi.

Wtedy Sieńka spytał:

— A myślał tato, że i wam tak źle będzie?

— Nie — powiedział tato — nie myślałem, że mnie tak źle będzie.

Wtedy Sieńka obrócił się do ludzi i powiedział:

— A ja tak myślę, że jeżeli waszym w ręce wpadnę, to nie będzie dla mnie litości.

I teraz, tato, my tatę wykończymy.

I Timofiej Rodionycz zaczął nachalnie do Sieńki wyrażać się o mamie i o Najświętszej Paniencie i bić Sieńkę po mordzie i Semen Timofieicz wysłał mnie ze dwora, tak że nie mogę, droga mamó Jewdokijo Fiodo-rowno, opisać mamie względem tego, jak wykańczali tatę, bo mnie wysłał ze dwora.

Potem to dostaliśmy kwatery w mieście Noworosyjskim. Względem tego miasta to można opowiedzieć, że za nim już ani kawałka suchego miejsca nie ma, tylko sama woda, Czarne Morze, i myśmy tam stali do samego maja, kiedyśmy poszli na polski front i trzepiemy szlachtę jak się patrzy...

Pozostaję z uszanowaniem, wasz syn Wa-syli Timofieicz Kurdiukow. Mamusiu, dogładajcie Stiopki i Bóg mamy nie opuści".

12

Oto list Kurdiukowa bez jednej poprawki. Kiedy skończyłem, Kurdiukow wziął zapisany arkusik i schował go za pazuchę, na gołe ciało.

— Kurdiukow — spytałem chłopca — złegoś miał ojca?

— Z ojca był pies — odpowiedział ponuro.

— A matka lepsza?

— Matka jak należy. Jak chcesz, to tu masz naszą rodzinę.

Podał mi złamaną fotografię. Był na niej Timofiej Kurdiukow, barczysty strażnik w urzędowej czapce i z rozczesaną brodą, znieruchomiały, z wystającymi skułami, z błyskiem w bezbarwnych, bezmyślnych oczach. Obok niego w bambusowym foteliku siedziała drobna chłopka w długim kaftaniku, o mizernych, jasnych i Wstydliwych rysach twarzy. A pod ścianą, na tym nędznym prowincjonalnym fotograficznym tle z kwiatami i gołąbkami, sterczeli dwaj chłopcy — potwornie rozrośnięci, tępi, o szerokich twarzach, wyłupiaści, zastygli jak na mustrze, dwaj bracia Kurdiukow — Fiodor i Semen.

Tłum. Jerzy Pomianowski

Sól

Kochany towarzyszu redaktorze! Chcę wam opisać odnośnie nieuświadomienia kobiet, które szkodę nam wyrządzają. Spodziewam się, żeście, objeżdżając fronty domowe, któreście na uwadze mieli, nie ominęli przekłetej stacji Fastów, co się znajduje za trzydziestoma górami, w pewnej krainie, na nieznannej równinie, gdzie ja, rozumie się, byłem, piwo-samogon piłem, wasy zamoczyłem, do gęby nie trafiło. O tej wyżej wyłuszczonej stacji wiele tego i owego można by napisać, ale,

jak to się u nas zwyczajnie mówi: pańskiego łajna nie uradzi przenieść. Dlatego napiszę wam tylko odnośnie tego, na co moje oczy własnoręcznie patrzyły. Nocka była cicha, dobra, będzie dni temu siedem, kiedy to zasłużony pociąg Konarmii, pełen wojaków, tam się zatrzymał. Wszyscyśmy się palili, zęby przysłużyć się sprawie, i braliśmy kierunek na Berdyczów. Ale widzimy, że pociąg nasz się nie rucha, Ha-wryłko w parowozie nie kręci, skąd ci to zatrzymanie? A faktycznie, zatrzymanie dla sprawy wyszło ogromne z tej przyczyny, że szmuglerze, te podle wrogi nasze, między którymi była także niezliczona mnogość rodzaju żeńskiego, w trybie nachalnym po-

14

czynali sobie z władzą kolejową. Nic się nie bojąc, uczepiali się poręczy, kłusa latali po dachach, kołowali, bruździli, a w rękach u każdego figurowała wiadoma sól, do pięciu pudów w worku. Ale niedługie było panowanie szmuglerskiego kapitału. Inicjatywa wojaków, co powyłazili z wagonów, pozwoliła sponiewieranej władzy kolejarskiej odetchnąć piersią; na placu został tylko sam rodzaj żeński ze swoimi tobołami. Mając litość, wojacy poniektóre kobiety usadzili w ciepłuszkach, poniektórych nie usadzili. Podobnież w naszym wagonie drugiego plutonu okazały się obecnymi dwie dziewoje. Ale przy pierwszym dzwonku podchodzi do nas fundamentalna kobieta z dzieciąciem i powiada:

— Puśćcie mnie, kochani Kozaczkowie, całą wojnę poniewierałam się po stacjach, dźwigając dzieciątko przy piersi, a teraz pragnę się zobaczyć z mężem, ale z przyczyny kolei niemożliwym jest jechać, czy to ja, Kozaczkowie, wedle pojęcia waszego nie zasłużyłam?

— Nawiasem mówiąc, kobieto — powiadam do niej — jaka będzie wola plutonu, taki wam los wypadnie.

I obróciwszy się do plutonu wyłuszczam im, że odpowiedzialna kobieta uprasza, aby mogła jechać do męża na miejsce przeznaczenia i że faktycznie dzieciątko przy sobie

15

ma, i jakie będzie wasze uzgodnienie, wpuścić ją czy też nie?

— Wpuszczaj ją — krzyczą chłopaki — po nas póki co i męża jej się nie zachce!...

— Nie — powiadam chłopakom dosyć delikatnie — kłaniam się ja plutonowi, tylko że zadziwia mnie słyszeć od was takie by-dłectwo. Wspomnijcie sobie na swoje życie i jakeście sami byli dzieciątkami przy swoich karmicielkach, i wychodzi na to, że tak mówić się nie godzi...

Więc Kozacy, pogadawszy między sobą, jak to niby ten Bałmaszow dobrze gadkę założyć potrafi, zaczęli ustępować kobiecie miejsca, a ona z wdzięcznością lezie. I każdy, rozgorzawszy od mojej prawdy, podsadza ją i gada jeden przez drugiego:

— Siadźcie sobie, kobieto, w kąciku i wedle starego u matek zwyczaju hołubcie swoje dzieciątko i nikt was w kąciku nie tknie, i przyjedziecie nietknięta do waszego męża, jak mieliście życzenie, a my na sumienie wasze się zdajemy, że wyhodujecie nam drugą zmianę, jako że stare się starzeje, młodego narybku mało co widać. Biedyśmy się, kobieto, napatrzyli i w służbie zawodowej, i w nadterminowej, głodem się dławiliśmy, chłodem nas poparzyło. A wy, kobieto, siedźcie sobie tutaj, bezwarunkowo...

I na trzeci dzwonek pociąg ruszył. I dobra nocka rozpostarła się jak namiot. A w tym namiocie były gwiazdy-kaganki. I wojacy wspominali noc na Kubaniu i zieloną kubańską gwiazdę. I piosenka zrywała się jak ptak. A tu koła terkotają, terkotają...

Po upływie czasu, kiedy nocka zeszała ze swojego posterunku i czerwoni dobosze zagrali pobudkę na swoich czerwonych bębenkach, wtedy to podeszli do mnie Kozacy, widząc, że siedzę i sen mnie się nie trzyma, i zamartwiam się na śmierć.

— Bałmaszow — mówią do mnie Kozacy — czegoś taki strasznie markotny i nie śpisz?

— Kłaniam się wam nisko, wojacy, i upraszam o maleńkie przebaczenie, tylko pozwólcie mi rozmówić się z tą obywatelką w paru słowach.

I, zadrzawszy całym ciałem, podniosłem się ze swojej pryczy, od której sen uciekał jak wilk przed sforą wściekłych psów, podchodzę ja do tej kobiety, biorę z jej rąk dziecinę, zrywam z niej pieluszki i pod pieluszkami widzę dobry pudzik soli.

— Oto jenteresująca dziecina, towarzysze, co o cycuszki nie prosi, na podolek nie siusia i ludziom spać nie przeszkadza...

— Darujcie, Kozaczkowie kochani — wtrąca się kobieta z zimną krwią do naszej rozmowy — to nie ja was oszukałam, to złe лихо we mnie oszukało was...

— Bałmaszow daruje twojemu lichu — odpoj^fttiera[^]skobiecie. — Dla Bałmaszowa niewiele onowiarte. Bałmaszow za co kupił,

17

za to sprzedaje. Ale obejrzyj no się, kobieto, na Kozaków, którzy cię uczcili jak pracującą matkę w republice. Obejrzyj się na te dwie dziewoje, które teraz oto płaczą, jako poszkodowane tej nocy. Obejrzyj się na żony nasze na pszenicznym Kubaniu, którym żeńska siła uchodzi bez mężów, a ci takóŜ samotni, ze złego musu niewolą dziewczeczki, które im w ich doli podlecą... Ale ciebie nie tknęli, chociaż ciebie, wredną, tylko i tykać. Obejrzyj no się na Ruś boleścią przyciśniętą...

A kobieta do mnie:

— Ja o swoją sól nie stoję, ja się prawdy nie bojam. Nie myślcie wy o Rusi, wy je-wrejów bronicie...

— Rzec teraz nie idzie o jewrejach, szpetna obywatelko. Tu o jewrejach ni przypiał, ni wypiał. A wy, obywatelko podła, jesteście jeszcze większa kontrrewolucjoner-ka niżli ten biały generał, co ostrą szabelką wygraża nam na tym swoim paradnym rumaku. Jego można zobaczyć, tego generała, skąd byś nie spojrział, i człowiek pracujący tylko rozmyśla i śni mu się, żeby go za-dźgać, ale was, obywatelko nieprzeliczona, z waszymi jenteresującymi dzieciakami, które chleba się nie proszą, za potrzebą nie latają, was nie dojrzy jak pchły, a wy drażycie, drażycie, drażycie...

I ja faktycznie przyznaję, że tę obywatelkę wyrzuciłem w biegu z pociągu na po-18

chyły nasyp, ale ona, jako że bardzo gruba, przysiadła tylko, machnęła kieckami i poszła swoją krętą dróżką. I kiedy zobaczyłem tę kobietę nie uszkodzoną, a dookoła Ruś w nieopisanym stanie i pola chłopskie bez kłosów, i dziewczątka sponiewierane, i towarzyszy, których dużo jeździ na front, ale mało powraca, zachciało mi się wyskoczyć z wagonu i albo ze sobą koniec zrobić, albo z nią. Ale Kozacy ulitowali się nade mną i rzekli:

— Trzepnij ją z karabinka. I zdjąwszy ze ściany wierny karabinek, zmyłem tę hańbę z oblicza pracującej ziemi i republiki.

I my, wojacy drugiego plutonu, przysięgamy wam, kochany towarzyszu redaktorze, i także wam, kochani towarzysze z redakcji, bez litości postępować ze wszystkimi zdrajcami, którzy ciągną nas do wilczego dołu i chcą zawrócić rzeczkę z powrotem i Ruś zasłać trupami i martwą trawą.

Za wszystkich wojaków drugiego plutonu — Nikita Bałmaszow — żołnierz rewolucji.

Tłum. Marian Toporowski

Historia jednego konia

Sawicki, dowódca naszej dywizji, odebrał kiedyś Chlebnikowowi, dowódcy pierwszego szwadronu, białego ogiera. Był to koń okazały, którego dorodne kształty wydawały mi się jednak wówczas nieco przyciężkawe. Chlebnikow otrzymał w zamian karą kobyłkę niezgorszej krwi, o gładkim kłusie. Pomiałał jednak kobyłką, pragnął zemsty, czekał swojej godziny i doczekał się jej.

Po lipcowych niefortunnych bojach, kiedy Sawickiego zdjęto i zesłano do rezerwy, Chlebnikow napisał do sztabu armii podanie o zwrot konia. Szef sztabu zaopatrzył podanie w rezolucję: „Przywrócić przytoczonego ogiera do stanu pierwotnego” i Chlebnikow, triumfując, zrobił sto wiorst, żeby odnaleźć Sawickiego, który przebywał wtedy w Radziwiłłowie, okaleczonym miasteczku, podobnym do obdartej babiny. Zdjęty dowódca dywizji był sam, sztabowe lizusy już go nie poznawały. Sztabowe lizusy łapały pieczone gołąbki w uśmiechach dowódcy armii i wysługując się pokazały plecy sławnemu żołnierzowi.

Zlany perfumami i podobny do Piotra Wielkiego, żył w niełasce, z Kozaczką Pawłą, którą odbił Żydowi-intendentowi, i z tuzi-

20

nem rasowych koni, uważanych przez nas za jego własność. Słońce w jego zagrodzie, znużone ślepotą swoich promieni, wyteżało siły, źrebięta w jego zagrodzie łąpczywie ssały matki, stajenni z mokrymi plecami przesiewali owies na wypłowiących wialniach. Porażony prawdą i kierowany zemstą, Chlebnikow maszerował na przelaj do zabarykadowanej zagrody.

— Znana wam jest moja osobistość? — zapytał leżącego na sianie Sawickiego.

— Tak jakby — odparł Sawicki i ziewnął.

— W takim razie macie rezolucję szefa sztabu — stanowczo rzekł Chlebnikow — i proszę was, towarzyszu z rezerwy, patrzeć na mnie oficjalnym okiem...

— Można — pojednawczo wymamrotał Sawicki, wziął papier i czytał go niezwykle długo. Potem nagle zawołał Kozaczkę, która czesała sobie włosy na chłodku, pod okapem.

— Pawła — powiedział — od rana, dzięki Bogu, czeszemy się... nastawiłabyś samowarek...

Kozaczka odłożyła grzebień i wzięwszy włosy do rąk przerzuciła je na plecy.

— Cały dzień dzisiaj, Konstanty Wasylewiczu, czepiamy się — powiedziała z leniwym i władczym uśmiechem — to tego wam, to tamtego...

I podeszła do dowódcy dywizji, w wysokich trzewikach, dźwigając pierś poruszającą się jak zwierzak w worku.

21

_ Cały dzień czepiamy się — powtórzyła rozpromieniona kobieta i zapięła dowódcy dywizji koszulę na piersi.

_ To tego mnie, to tamtego — zaśmiał się dowódca, wstając objął sprężyste plecy Pa-wły i raptem zwrócił do Chlebnikowa zmartwiałą twarz.

_ Jeszcze żyję, Chlebnikow - powiedział, obejmując Kozaczkę - jeszcze nogi moje łożą, jeszcze konie moje cwałują, jeszcze ręce moje dosięgną ciebie i armata moja grzeje się koło mojego ciała...

Wciął rewolwer, który spoczywał na jego gołym brzuchu, i ubliżył się do dowódcy pierwszego szwadronu.

Ten zrobił w tył zwrot, jego ostrogi jęknęły a on opuścił zagrodę jak ordynans z pilnym poleceniem i znowu odwalił sto wiorst, żeby znaleźć szefa sztabu, ale ten przepędził Chlebnikowa.

— Twoja sprawa, dowódco szwadronu, jest załatwiona - powiedział szef sztabu. - Ogiera ci zwróciłem, a naprzykrzan starczy i bez ciebie...

Nie chciał słuchać Chlebnikowa i przekazał wreszcie pierwszemu szwadronowi zbiegłego dowódcę. Chlebnikowa nie było przez cały tydzień. Przez ten czas

przerzucono nas na popas do lasów dubieńskich. Bozbiłiśmy tam namioty i dobrze nam się powodziło. Chlebnikow wrócił, pamiętam, w niedzielę rano dwunastego. Zażądał u mnie papieru

22

ponad librę i atramentu. Kozacy ociosali mu pień, położył na pniu rewolwer i papier i pisał do wieczora, przekreślając mnóstwo arkuszy.

— Istny Karol Marks — powiedział doń wieczorem komisarz szwadronu. — Co ty piszesz, kij ci w bok?

— Opisuję rozmaite myśli zgodnie z przysięgą — odparł Chlebnikow i wręczył komisarzowi deklarację wystąpienia z komunistycznej partii bolszewików.

„Partia komunistyczna — było powiedziane w tej deklaracji — założona została, przypuszczam, celem radości i stanowczej prawdy bez granic i powinna także oglądać się na małych. Teraz co się tyczy do białego ogiera, którego odbiłem niemożliwym względem swojej kontry włościanom, który miał podupały wygląd i szereg towarzyszy bezwstydnie śmichy-chichy robiło nad tym wyglądem, ale ja miałem siły wytrzymać ten szorstki śmiech i zacisnąwszy zęby za wspólną sprawę wypiautowałem ogiera do upragnionej przemiany, jako jestem, towarzysze, amator do siwych koni, i oddałem im siły, które w małej ilości pozostały mi po wojnie imperialistycznej i domowej, i takowe ogiery odczuwają moją rękę i ja także mogę odczuwać jego milczące cierpienie i czego mu trzeba, ale niesłuszna klacz karej maści nie jest mi potrzebna, nie mogę jej odczuwać ani nie mogę jej znosić, co wszyscy

23

towarzysze mogą potwierdzić, żeby nie stało

- coś złego. I oto partia nie może mi przy-Sl ócić, zgodnie z rezolucją, tego, co dla

nie najdroższe, to nie mam wyjścia, jak

- aC to oświadczenie ze łzami, które nie ystoją bojownikowi, ale płyną bez ustanku i smagają serce chłozząc je do krwi...”

To i jeszcze wiele innych rzeczy było na-

isane w deklaracji Chlebnikowa. Pisał ją

P^w dzień, była więc bardzo długa. Obaj

C komisarzem łamaliśmy nad nią głowę z go-

j i^p i odcyfrowaliśmy do końca.

_^- Grłupi — powiedział komisarz, drąc pa-ief — przychodź po kolacji, będziesz miał pogadankę ze mną.

__ jifie trzeba mi twojej pogadanki — od-

Jhlebnikow, drgając — przegrałeś mnie,

koinisarzu.

gtał na baczność, dygotał, nie ruszając z miejsca, i rozglądał się na wszystkie strony wybierając, którądy uciekać. Komi-gir'z podszedł do niego, ale nie dopatrywał, dębników szarpnął się i pobiegł z ealej

sity-

^_ przegrałeś! — zawołał dziko, wlażł na t>^ń i zaczął zdzierać z siebie kurtkę i ha-

ratać pierś.

__ Bij, Sawicki — zawołał, padając na zie-mię ^ bij od razu!

Zaciągnęliśmy go do namiotu, Kozacy nam omogli. Naparzyliśmy mu herbaty i nabiliśmy papierosów. Palił i ciągle drżał. I do-

24

piero pod wieczór uspokoił się nasz dowódca. Więcej nie wspominał o swoim szalonym oświadczeniu, ale po tygodniu pojechał do Równego, dał się zbadać przez komisję lekarską i został zdemobilizowany jako inwalida sześciokrotnie ranny.

Tak straciliśmy Chlebnikowa. Byłem tym zasmucony, bowiem Chlebnikow był łagodnym człowiekiem, o usposobieniu podobnym do mojego. On jeden tylko w szwadronie miał samowar. W dniach zacinza piliśmy we dwóch gorącą herbatę. Targały nami jednakowe namiętności. Obaj spoglądaliśmy na świat jak na łąkę w maju, łąkę, po której chodzą kobiety i konie.

Tłum. Wiktor Woroszyński

Historii jednego konia ciąg dalszy

Przed czterema miesiącami Sawicki, były dowódca naszej dywizji, zabrał Chlebniko-wowi, dowódcy pierwszego szwadronu, białego ogiera. Chlebnikow odszedł wtedy z wojska, a dzisiaj Sawicki otrzymał od niego list.

Chlebnikow — do Sawickiego

„I nijakiej złości na Budionną Armię więcej mieć nie mogę, cierpienia moje pośród tej armii rozumiem i przechowuję w sercu ponad wszelką świętość. A wam, towarzyszu Sawicki, jako wszechświatowemu bohaterowi, masy pracujące Witebszczyzny, gdzie znajduję się jako przewodniczący powiatowego rewkomu, ślą proletariacki zew — „Dawać rewolucję światową!” — i życzą, żeby ten biały ogier chodził pod wami długie lata po miękkich ścieżkach ku pożytkowi przez wszystkich ukochanej wolności i bratnich republik, w których osobliwe oko musimy mieć na władzę w terenie i na jednostki gromadzkie pod względem administracyjnym...”

26

Sawicki — do Chlebnikowa

„Niezmienny towarzyszu Chlebnikow! Który list napisałeś dla mnie, to jest on bardzo chwalebny dla wspólnej sprawy, tym bardziej powiedziawszy, po twojej głupocie, kiedy własna skóra zakryła ci oczy i wystąpiłeś z komunistycznej

naszej partii bolszewików. Komunistyczna partia nasza jest to, towarzyszu Chlebnikow, żelazny ordynek bojowników, oddających krew w pierwszym szeregu, a kiedy z żelaza wycieka krew, to wam, towarzyszu, nie żarty, lecz zwycięstwo lub śmierć. To samo względem wspólnej sprawy, której nie spodziewam się zobaczyć rozkwitu, bo walki ciężkie i korpus dowodzący zmieniam na dwa tygodnie raz. Trzydziestą dobę biję się w ariergardzie, osłaniając niezwyciężoną Pierwszą Konną i znajdując się pod rzeczywistym karabinowym, artyleryjskim i powietrznym ogniem nieprzyjaciela. Zabity Tardyj, zabity Łuchman-nikow, zabity Łykoszenko, zabity Gulewoj, zabity Trunow i białego ogiera nie mam pod sobą, tak że zgodnie ze zmiennym wojennym szczęściem nie spodziewaj się zobaczyć ukochanego dowódcy dywizji Sawickiego, towarzyszu Chlebnikow, a zobaczymy się, otwarcie powiedziawszy, w królestwie niebieskim, ale, jak słyhać, u starego w niebiosach nie królestwo, lecz bajzel przepiso-

27

wy, a tryprów i na ziemi starczy, więc może się i nie zobaczymy- Na tym żegnam cię, towarzyszu Chlebnikow".

Tłum. Wiktor Woroszyński

K

Wdowa

Na sanitarnej biedce kona Szewielew, do-dódca pułku. Kobieta siedzi przy jego nogach. Noc, dziergana odblaskami kanonady, wysklepiła się nad konającym. Lowka, woźnica dowódcy dywizji, odgrzewa w saganku jedzenie. Czub Lowki zwisa nad ogniskiem, spętane konie z chrzęstem pasą się w krzakach. Lowka miesza gałązką w saganie i mówi do Szewielewa, wyciągniętego na sanitarnej biedce:

— Pracowałem ci ja, towarzyszu złoty, w mieście Tiumrek, pracowałem przy jeździe figurowej, a także samo jako waga lekka. Miasteczko, ma się rozumieć, dla niewiast takie więcej nudne, jak mnie babki zobaczyły, to drzwiami i oknami...

Panie Leonie, raczy pan nie odmówić przekąski ala kart, nie pożałuje pan bezpowrotnie utraconych chwil... Posunęliśmy z taką jedną do trak-tierni.

Zamawiamy dwie porcje cielęciny, zamawiamy pół litra, siedzimy sobie z nią całkiem spokojnie, popijamy... Patrząc, a tu pcha się do mnie jakiś gość, ubrany niczego, porządnie, ale po facecie widać, że dużo sobie wmawia i że jest pod muchą.

„Przepraszam, powiada, jakiej pan, nawiasem mówiąc, jest narodowości?"

29

„A z jakiej racji, pytam, pan szanowny mi w narodowość nos wtyka, kiedy ja zwłaszcza znajduję się w damskim towarzystwie?"

A ten mi na to:

„Jaki tam z pana, powiada, atleta... We walkach francuskich takich to się bierze tylko na wieczną podkładkę. Wykaż mi pan swoją narodowość...”

...Ale ja mimo wszystko jeszcze nie rąbię. „A dlaczego pan — nie znam pańskiej godności — takie towarzyskie nieporozumienie chce wywołać, że tu już obowiązkowo ktoś musi teraz zginąć ewentualnie wyzionąć ducha?” Wyzionąć ducha... — powtarza Lowka z emfazą i wyciąga ręce do nieba, okręcając głowę nocą jak nimbem. Niestrudzony wiatr, czysty wiatr nocy śpiewa, nabrzmiwa hukiem i wprawia dusze w chybot. Gwiazdy płoną w mroku jak obrączki ślubne, spadają na Lowkę, płaczą się we włosach i gasną w kudłach jego głowy.

— Lew — szepce nagle Szewielew sinymi wargami — chodź tu. Złoto, jakie tylko mam, dla Saszki — mówi ranny — pierścionki, uprząż, wszystko dla niej. Jak się mogło, tak się żyło... niech ma nagrodę... Odzież, derki, order za bohaterstwo — matce nad Terek. Odeślij razem z listem i napisz w liście: „Komendant kłaniał się i kazał nie płakać. Chata jest twoja, staruszko, mieszkać sobie. Niech kto ruszy — leć do Budionnego: ja —

30

matka Szewielewa...” Konia Abramka ofiaruję pułkowi, konia daję, żeby westchnęli za moją duszę...

— Co do konia, to jasne — mruczy Lowka i macha ręką. — Saszka — krzyczy do kobiety — słyszałaś, co gada?... Przy nim tu się przyznaj, oddasz starej, co dla niej, czy nie oddasz?...

— Prac waszą mać — odpowiada Saszka i odchodzi w krzaki wyprostowana jak ślepiec.

— Oddasz sierocy grosz? — dogania ją Lowka i chwyta za gardło. — Przy nim gadaj...

— Oddam. Puść!

I wtedy, wymusiwszy zobowiązanie, Lowka zdjął saganek z ognia i zaczął lać konającemu bryję w tężejące usta. Barszcz ściekał z twarzy Szewielewa, łyżka dzwoniła o błyszczące, martwe zęby i kule coraz żałośniej, coraz ostrzej śpiewały w rozległych gąszczach nocy.

— Z karabinów wałą, gady — powiedział Lowka.

— Wysługują się, pacholy — odparł Szewielew — kulomiotami prawe skrzydło nam rozpieprzą...

I przymknąwszy oczy, solennie, jak nieboszczyk na stole, Szewielew nastawił na odgłosy «bitwy swoje duże woskowe uszy. Koło niego Lowka żuł mięso, mlaszcząc

31

i dławiąc się. Kiedy zjadł, oblizął wargi i pociągnął Saszkę w kotlinę.

— Sasz — powiedział drżąc, czkając i wywijając rękoma. — Saszka, jak na spowiedzi, i tak grzechów pełno jak tych psów... Raz się żyje, raz się zdycha. Nie

broń mi się, Saszka, odwdzięczę się, choćby i krwią własną... Jego życie już skończone, Saszka, a u Boga dni nie ubyło...

Usiedli w wysokiej trawie. Opieszwały księżyc wypełził zza obłoków i zatrzymał się na gołym kolanie Saszki.

— Rżniecie się — wymamrotał Szewielew — a tamci już pewno popędzili kota czternastej dywizji...

Lowka chrobotał i sapał w krzakach. Mgła-wy księżyc włókł się przez niebo jak po prośbie. Głos dalekiej kanonady płynął przez powietrze. Ostnica szeleściła na rozdygotanej ziemi i sierpniowe gwiazdy padały w trawę...

Potem Saszka wróciła na dawne swoje miejsce. Zaczęła zmieniać rannemu opatrunki i podniosła latarkę nad ropiejącą raną. — Do jutra ci się zemrze — powiedziała Saszka, obcierając Szewielewa, zlanego zimnym potem. — Do jutra ci się zemrze, śmierć w kiszka ci siedzi...

I w tej właśnie chwili wielogłosey, masywny cios runął na ziemię. Cztery nowe brygady, rzucone do boju przez dowództwo nieprzyjacielskie, zwały na Busk pierwszą

32

salwę i rwąc naszą łączność otworzyły ogień wzdłuż linii Bugu. Posłuszne pożary wyrosły na horyzoncie, ciężkie ptaki kanonady wyleciały z ognia. Busk płonął i Lowka pomknął przez las w zataczającym się wołancie kom-dywa szóstej. Naciągnął malinowe lejce i trząskał o pnie lakierowanymi kołami. Biedka Szewielewa gnała za nim, skupiona Saszka powoziła końmi rwącymi się z uprząży-

Tak przybyli na skraj lasu, gdzie roztaśował się punkt opatrunkowy. Lowka wyprzągnął konie i poszedł do kierownika prosić o derkę. Szedł przez las cały, zastawiony wozami. Ciała sanitariuszek sterczały spod wozów, nieśmiały świt kołatał się nad sołdackimi -kożuchami. Śpiący porozkraczali nogi w buciorach, obrócili białka ku niebu, przekrzywili czarne jamy ust.

U kierownika derka się znalazła, Lowka wrócił do Szewielewa, pocałował go w czoło i nakrył całego. Wówczas do biedki zbliżyła się Saszka. Zawiązała sobie chustkę pod brodę i strząsnęła słomę z odzieży.

— Pawlik — powiedziała — Jezu ty mój Chryste — i legła na trupie bokiem, przykrywając go swym ogromnym ciałem.

— Ale ją wzięło — powiedział wtedy Lowka — bo i co tam gadać, dobrze żyli ze sobą. Teraz znów przyjdzie się jej męczyć pod całym szwadronem. Nie tak to łatwo...

3 — Opowiadania...

33

I pojechał dalej, do Buska, gdzie kwaterował sztab szóstej dywizji konnej.

Tam, dziesięć wiorst za miastem, toczył się bój z Kozakami Sawinkowa. Zdrajcy walczyli pod dowództwem esaula Jakowlewa, co przeszedł na polską stronę. Walczyli mężnie. Komdyw drugą dobę już był na linii i Lowka, nie mogąc znaleźć go w sztabie, wrócił na swoją kwaterę do chaty, wyczyścił konie, otoknął wodą koła powozu i poszedł spać do sąsiedka. Stodoła pełna była świeżego siana, podniecającego jak pachnidła. Lowka wyspał się i zabrał się do obiadu. Gospodyni nagotowała mu ziemniaków i załała je zsiadłym mlekiem, Lowka siedział już przy stole, kiedy na ulicy rozległ się żalobny krzyk trąb i tupot mnóstwa kopyt. Szwadron z trębaczami i proporcami ciągnął krętą, galicyjską ulicą. Ciało Szewielewa, złożone na lawecie, przykryte było sztandarami. Saśzka jechała za trumną na ogierze Szewielewa, kozacka pieśń śączyła się z tylnych szeregów.

Szwadron przeciągnął pryncypalną ulicą i skręcił ku rzece. Wówczas Lowka, boso, bez czapki popędził za oddalającym się oddziałem i chwycił za cugle konia dowódcy szwadronu.

Ani komdyw, który zatrzymał się na skrzyżowaniu i oddawał honory zmarłemu dowódcy, ani jego sztabowcy nie słyszeli, cp powiedział Lowka szwadronowemu.

34

— Derki... — niósł ku nam-wiatr strzępy słów — matka nad Terekiem... — doszły nas bezładne okrzyki Lowki. Dowódca szwadronu, nie czekając końca, wyrwał swoje cugle i wskazał ręką na Saszkę. Kobieta pokręciła głową i pojechała dalej. Wtedy Lowka skoczył z tyłu na jej siodło, chwycił ją za włosy, odgiął głowę i rozbił pięścią twarz. Saszka otarła krew rąbkiem spódnicy i pojechała dalej.

Lowka zlął z siodła, odrzucił czub znad oczu i przewiązał sobie biodra czerwoną szarfą. I zawodzący trębacze poprowadzili szwadron dalej, ku lśniącej linii Bugu. Lowka wkrótce wrócił do nas i krzyknął, błyskając oczyma:

— Rozkwaśiłem jej gębę na czysto... Odeślę, powiada, matce, jak już trzeba. Co mu się należy, powiada, to sama pamiętam. A jak pamiętasz, to nie zapomnij, gadzino... A jak zapomnisz, to ci jeszcze raz przypomnimy. A jak znowu zapomnisz, to przypomnimy ci znów.

Tłum. Jerzy Pomianowski

3*

Król

Obrzęd ślubny skończył się, rabin opadł na fotel, potem wyszedł z pokoju i zobaczył stoły ustawione wzdłuż całego podwórza. Było-ich tak dużo, że aż ogon wystawał za wrota, na Szpitalną ulicę. Nakryte pluszem stoły wiły się po podwórzu jak węże, którym na brzuch położono łąty różnych kolorów — i te łąty z pomarańczowego i czerwonego pluszu śpiewały gromkimi głosami.

Z mieszkań zrobiono kuchnie. Przez zakopcone drzwi walił tłusty płomień, pijany, nabrzękły płomień. W jego oczadziałych promieniach piekły się babie twarze, starcze, drżące podbródki, zasmolone piersi. Pot, różowy jak krew, różowy jak piana wściekłego psa, oblewał te kupy rozrosłego, ckliwie cuchnącego człowieka mięsa. Trzy kucharki, nie licząc pomywaczek, szykowały ucztę weselną, a królowała nad nimi siedemdziesięcioletnia Roj za, tradycyjna jak zwój tory, drobna i garbata.

Przed wieczerzą na podwórze wkręcił się jakiś nie znany gościom młody człowiek. Zapytał o Benie Krzyka. Wziął Benie Krzyka na stronę.

— Słuchajcie no, Król — powiedział młody człowiek — mam wam parę słów do po-
39

wiedzenia. Przychodzę od cioci Chany z Kosteckiej...

— No dobrze — odpowiedział Benia Krzyk, zwany Królem — co to za parę słów?

— Nowy przy staw objął wczoraj cyrkuł, kazała wam powiedzieć ciocia Chana...

— Wiedziałem to już przedwczoraj — odpowiedział Benia Krzyk. — Dalej.

— Prystaw zrobił zbiórkę na cyrkule i trzymał mowę...

— Nowa miotła dobrze miecie — odpowiedział Benia Krzyk. — On chce mieć obławę. Dalej...

— A kiedy będzie obława, wiecie wy, Król?

— Będzie jutro.

— Król, obława będzie dzisiaj.

— Kto ci to powiedział, chłopczyku?

I — To mi powiedziała ciocia Chana. Znacie przecież ciocię Chanę.

— Znam ciocię Chanę. Dalej.

— ...Prystaw zebrał cyrkuł i trzymał mowę. „My musimy zdusić Benie Krzyka, powiedział, bo tam, gdzie jest jego imperator-ska mość, tam nie może być króla. Dziś, kiedy Krzyk wydaje siostrę za męża i oni wszyscy tam będą, dziś właśnie; trzeba zrobić obławę...”

— Dalej.

— No to szpicle zaczęli się bać. Oni powiedzieli: „Jak my dzisiaj zrobimy obławę, kiedy u niego jest święto, to Benia się roz-

40

gniewa i upuści dużo krwi”. To na to prystaw powiedział: „Moja ambicja jest mi droższa...”

— No to już idź — odpowiedział Król.

— Co powiedzieć cioci Chanie względem obławy?

— Powiedz, że Benia wie względem obławy.

I ten młody człowiek poszedł sobie. Za nim wyszło ze trzech przyjaciół Beni. Powiedzieli, że za pół godziny wrócą, i za pół godziny już byli z powrotem. I to było wszystko.

Do stołu siadano nie według starszeństwa. Głupia starość nie mniej jest żalosna niż tchórzliwa młodość. I nie według zamożności. Podszewka ciężkiej kabzy utkana jest z łez.

W głowach stołu na pierwszym miejscu siedział narzeczony z narzeczoną. To ich dzień. Na drugim miejscu siedział Sender Eichbaum, teść Króla. To jego prawo. Historię Sendera Eichbauma warto znać, bo to nie taka prosta historia.

Jakim sposobem Benia Krzyk, bandyta i król bandytów, został zięciem Eichbauma? Jak został zięciem człowieka, który miał w majątku sześćdziesiąt dojnych krów bez jednej? Rozeszło się o napad. Nie dalej jak rok temu Benia napisał list do Eichbauma.

„Mesje Eichbaum — pisał Benia — zechciej pan położyć jutro rano pod bramą na 41

Sofijskiej ulicy pod siedemnastką dwadzieścia tysięcy rubli. Jak pan tego nie zrobi, to pana czeka coś niesłychanego i cała Odessa będzie miała co mówić o panu. Z poważaniem, Benia Król”.

Trzy listy, jeden jaśniejszy od drugiego, zostały bez odpowiedzi. Wówczas Benia wszczął postępowanie. Tych dziewięciu ludzi z długimi kijami w rękę przyszło w nocy. Kije były na końcu omotane pakułami maczanymi w smole. Dziewięć płomiennych gwiazd zapaliło się w krowiarni Eichbauma. Benia odbił zamki w oborze i zaczął wyprowadzać krowy jedną po drugiej. Czekał już na nie chłopak z nożem w rękę. Jednym ciosem obalał krowę i zatapiał nóż w krowim sercu. Na ziemi zlanej krwią pochodnie rozkwitły jak ogniste róże, zagrzmiały wystrzały. Strzałami Benia odpędzał krowiarki, które zbiegły się do obory. W ślad za nim także inni bandyci zaczęli strzelać w powietrze, bo jeżeli nie strzelać w powietrze, to można zabić człowieka. I oto kiedy szóstą krowa z przedśmiertelnym rykiem padła pod nogi Królowi, wtedy wybiegł na dwór Eichbaum w samych kalesonach i zapytał:

— I co będzie z tego wszystkiego, Benia?

— Jeżeli ja nie będę miał pieniędzy, to pan nie będziesz miał krów, panie Eichbaum. Jak dwa razy dwa.

— Zajdź no do mieszkania, Benia.

I w mieszkaniu dogadali się. Zarzniętymi

42

krowami podzielili się po polowie, ласпоашп otrzymał gwarancję nietykalności i odpowiednie zaświadczenie ze stemplem. Ale cud zdarzył się dopiero potem.

W czasie napadu tej groźnej nocy, kiedy ryczały dżgane nożami krowy, a cielęta ślizgały się w krwi matczynej, kiedy pochodnie płąsały jak czarne dziewice, zaś baby do jarki zachęły się i kwiczały pod lufami dobrodusznych browningów — tej groźnej nocy wybiegła na dwór w wyciętej koszuli córka starego Eichbauma — Cyli. I zwycięstwo Króla stało się jego klęską.

Po dwóch dniach Król bez uprzedzenia zwrócił Eichbaumowi całe zabrane mu pieniądze, po czym zjawił się wieczorem z wizytą. Przyodziany był w pomarańczowy garnitur, spod mankieta błyszczła mu brylantowa bransoletka, wkroczył do pokoju, przywitał się i poprosił o rękę córki Eichbauma, Cyli. Starego trochę jakby lekki szlag trafił, ale się podniósł. Stary miał w sobie jeszcze życia na jakieś dwadzieścia lat.

— Słuchaj pan, Eichbaum — powiedział mu Król. — Kiedy pan umrze, to ja pana pochowam na pierwszym żydowskim cmentarzu, koło samej bramy. Ja panu postawię, Eichbaum, pomnik z różowego marmuru. Ja pana zrobię starostą Brodzkiej synagogi. Ja rzucę swój fach, panie Eichbaum, i przystąpię do pańskiego interesu jako współnik. My będziemy mieli dwieście krów, panie

43

Eichbaum. Ja pozabijam wszystkich pachcia-rzy, prócz pana. Złodziej nie ośmieli się przejść tą ulicą, na której pan mieszka. Postawię panu willę na szesnastej stacji... I przypomnij pan sobie tylko, Eichbaum, pan przecież w młodości też nie był rabinem. Kto podrobił testament — może lepiej głośno nie mówić... I za zięcia będziesz pan miał Króla, nie smarkacza, tylko Króla, panie Eichbaum...

I Benia Krzyk zyskał, co chciał, bo był człowiekiem namiętym, a namiętność panuje nad światem. Nowożeńcy spędzili trzy miesiące w żyznej Besarabii, pośród winnic, obfitego jada i miłosnego potu. Później zaś Benia wrócił do Odessy, aby wydać za mąż czterdziestoletnią siostrę swoją, Dwojrę, cierpiącą na chorobę Basedowa. Teraz zatem, kiedyśmy opowiedzieli historię Sendera Eichbauma, możemy wrócić na wesele Dwoj-ry Krzyk, siostry Króla.

Na tym weselu podano na kolację indyki, pieczone kury, gęsi, faszzerowane ryby i rybną polewkę, w której perłowym blaskiem świeciły cytrynowe oka. Nad martwymi łebkami gęsiami kołysały się kwiaty jak dumne pióropusze. Ale czy tylko pieczone kury wyrzuca na brzeg pienisty przypyływ odeskiego morza? Cały kwiat naszej kontrabandy, wszystko, czym słynie ziemia od krańca do krańca, wprzagnięte było tej gwieżdzistej, tej błę-

44

kitnej nocy do swego niszczycielskiego, zwodniczego dzieła. Zamorskie wino rozgrzewało żołądki, słodko podcinało nogi, tumańło głowy i odbijało się czkawką, donośną jak pobudka wojskowa. Czarny kucharz z „Plutarcha”, który przybył onegdaj z Port Saidu, przeszwarcował za strefę wolnocłową pękate

butle rumu jamajskiego, oleistą ma-dere, cygara z plantacji Pierponta Morgana i pomarańcze spod Jerozolimy. Oto co wyrzuca na brzeg pienisty przyływ odeskiego morza, oto co przypada niekiedy odeskim żebrakom na żydowskich weselach. Na weselu Dwojry Krzyk dano im jamajskiego rumu i dlatego, nachlawszy się jak trefne śwynie, żydowscy żebracy zaczęli ogłuszająco stukać swoimi kosturami. Eichbaum, roz-piąwszy kamizelkę, przymrużonym okiem oglądał rozhulaną czeredę i czekał z lubością. Orkiestra grała tusz. Było tak jak na dywizyjnej paradzie. Tusz i nic, tylko tusz. Bandyci siedzący w zwartym szyku z początku czuli się skrępowani obecnością obcych, ale później dali sobie folgę. Lowa Kacap rozbił flaszkę wódki na głowie swojej ukochanej, Monia-Artylerzysta strzelił w powietrze. Ale ostatecznych granic dosięgła ekstaza w momencie, gdy starym zwyczajem goście zaczęli obdarowywać nowożeńców. Bożniczni szamesi skoczywszy na stoły wyśpiewywali w dźwięcznym bulgocie tuszów ilość darowanych rubli i srebrnych

45

łyżek. I tutaj przyjaciele, Króla pokazali, co warta jest błękitna krew i nie wygasła jeszcze rycerskość Mołdawanki. Niedbałym gestem rzucali na srebrne tace złote monety, pierścienie, sznury koralu.

Ci arystokraci Mołdawanki nosili obcisłe malinowe kamizelki, ich barki opinały rude surduty, na ich mięsistych łydkach pękała skóra barwy niebiańskiego lazuru. Prężąc się w całej okazałości, wypinając brzuchy, bandyci klaskali do taktu, krzyczeli „gorzko” i rzucali kwiaty narzeczonej, a ona, czterdziestoletnia Dwojra, siostra Beni Krzyka, siostra Króla, oszpecona przez chorobę, z rozdętym wolem i wysadzonymi z orbit oczyma, siedziała na górze poduszek obok szczupłego chłopaka, kupionego za pieniądze Eich-bauma i oniemiałego z żalości. Ceremonia składania podarunków miała się ku końcowi, szamesi ochrypli i nie było już zgody między basetlą a skrzypcami. Nad podwórkiem przeciągnął nagle lekki wiew spalenizny.

— Benia — powiedział tatunio Krzyk, stary furman, który nawet wśród furmanów miał opinię grubianina — Benia, ty wiesz, co mi się zdaje? Mi się zdaje, że u nas się palą sadze...

— Tatunio — odpowiedział Król pijanemu ojcu — ja bardzo proszę, niech tatunio sobie pije i zakąsza i może mi się tatunio nie przejmować o byle co...

I Krzyk-senior posłucftał rady syna. Prze-

46

gryzł sobie i wypił. Ale obłoczek dymu stawał się coraz bardziej gryzący. Gdzieś w oddali zaróżowił się już skraj nieba. I już strzelił w górę wąski jak szpada język ognia. Goście wstali z miejsc wietrząc swąd, a ich baby zanosły się piskiem.

Bandyci wymienili spojrzenia. I tylko Benia na nic nie zwracał uwagi i był niepokieszony.

— Psują mi święto — krzyczał pełen rozpaczy — moi drodzy, błagam was, jedzcie i pijcie...

Ale w tym momencie na podwórzu zjawił się ten sam młodzieniec, który przyszedł na początku wieczoru.

— Król — powiedział do Beni — ja mam wam do powiedzenia parę słów...

— No, mów — odrzekł Król — ty zawsze masz w zapasie parę słów...

— Król — powiedział nieznanemu młodzieniec i zachichotał — to po prostu śmieszne, cyrkuł się pali jak ta świeczka...

Kramarze oniemieli. Bandyci uśmiechali się. Sześćdziesięcioletnia Mańka, macierz bandytów słobodzkich, włożyła dwa palce w usta i gwizdnęła tak przeraźliwie, że pod jej sąsiadami zachwiały się krzesła.

— Mania, tu nie jesteś na robocie — zwrócił jej uwagę Benia — trochę zimnej krwi, Mania...

Młodzieńca, który przyniósł tę zdumiewającą nowinę, wciąż jeszcze dusił śmiech.

- Wyszło ich z cyrkułu może ze czter-

47

dziestu — opowiadał ruszając zuchwami — i poszło na obławę. To ledwie uszli piętnaście kroków, jak już się zapaliło... Lećcie zobaczyć, jak chcecie...

Ale Benia zabronił gościom spacerów dla oglądania pożaru. Poszedł sam z dwoma kolegami. Cyrkuł płonął jak się należy, z czterech stron. Stójkowi, trzęsąc zadami, biegali po zadymionych schodach i wyrzucali z okien swoje kufarki. W rozgardiaszu rozbiegli się aresztanci. Strażacy byli pełni gorliwości, ale okazało się, że w najbliższym kranie nie ma wody. Prystaw — ta sama miotła, co dobrze wiecie — stał na przeciwnym chodniku i gryzł wąsy włożące mu do ust. Nowa miotła stała nieruchomo. Benia, przechodząc obok prystawa, zsalutował mu po wojskowemu.

— Dobrego zdrówka, wasza ekscelencjo — powiedział ze współczuciem — co pan powie względem tego nieszczęścia? To wprost koszmarnie...

Wlepił wzrok w pałacy się budynek, pokiwał głową i zacmokał wargami:

— Aj, aj, aj...

A kiedy Benia wrócił do domu, na dworze gasły już latarenki i na niebie zapalał się już brzask. Goście się rozeszli, a muzykanci drzemali z głowami opuszczonymi na szyjki swoich basetli. Tylko Dwojra nie miała za-

48

miaru spać. Popychała oburącz odrętwiałego z lęku męża w stronę drzwi małżeńskiej sypialni i spoglądała na niego żarłocznie, jak kot, który trzymając w pysku mysz z lekka próbuje jej zębami.

Tłum. Jerzy Pomianowski

i — Opowiadania..

Tak to robiono w Odessie

Odezwałem się pierwszy: — Reb Arie-Lejb — powiedziałem do starego — pomówmy o Beni Krzyku. Pomówmy o błyskawicznym jego rozbiegu i straszliwym końcu. Trzy cienie tarasują drogi mojej wyobraźni. Oto Froim Gracz. Czy stał jego uczynków nie wytrzymuje porównania z siłą Króla? Oto Kolka Pakowski. Zaciekłość tego człowieka zawierała w sobie wszystko, co potrzebne jest, by mieć władzę. A czy Chaim Drag nie potrafił dostrzec blasku nowej gwiazdy? Czemu tylko Benia Krzyk wspiał się na sam szczyt sznurowej drabiny, a wszyscy inni zawiśli w dole, na chwiejnych szczeblach?

Reb Arie-Lejb milczał, siedząc na cmentarnym murze. Rozpościerał się przed nami zielony spokój grobów. Człowiek szukający odpowiedzi winien się uzbroić w cierpliwość. Człowiekowi pełnemu wiedzy przystoi powaga. Dlatego Arie-Lejb milczał siedząc na murze cmentarnym. Wreszcie odezwał się:

— Dlaczego on? Dlaczego nie tamci, chce pan wiedzieć? Otóż trzeba na chwilę zapomnieć, że na nosie ma się okulary, a w duszy jesień. Niech pan przestanie awanturować się przy swoim biurku, a jąkać się

50

wśród ludzi. Niech pan sobie wyobrazi na chwilę, że się pan awanturuje na placach, a jąka się na papierze. Pan jest tygrysem, pan jest lwem, pan jest kotem. Pan może się przespać z ruską kobietą i ruska kobieta będzie po tym zadowolona. Pan ma dwadzieścia pięć lat. Gdyby do nieba i ziemi przytwierdzone były uchwyty, to pan mógłby za te uchwyty złapać i przyciągnąć niebo do ziemi. A za tatunia ma pan furmana Mendla Krzyka. Względem czego może myśleć taki tatunio? On może myśleć względem wypić porządnego kielicha, względem dać komuś po mordzie, względem swoich koni — i nic więcej. Pan chcesz żyć, a on każe panu umierać po dwadzieścia razy dziennie. Co by pan zrobił na miejscu Beni Krzyka? Nic by pan nie zrobił. A on zrobił. Dlatego on jest Król, a pan masz figę w kieszeni.

Beniek poszedł więc do Froima Gracza, który już wówczas patrzył na świat jednym okiem i był tym, czym jest. On powiedział Froimowi:

— Weź mnie. Chcę przybić do twojego brzegu. Ten brzeg, do którego ja przybiję, będzie wygrany.

Gracz go spytał:

— Ktoś ty, skąd się bierzesz i co masz w zanadru?

— Wypróbuj mnie, Froim — odparł Benia — i przestańmy rozmazywać białą kaszę po czystym stole.

4*

51

— Przestańmy rozmazywać kaszę — odrzekł Gracz — ja cię wypróbuję.

I zebrała się rada bandycka, żeby zastanowić się nad Benią Krzykiem. Nie byłem na tej radzie. Ale podobno taką radę zwołano. Starszym był wtedy nieboszczyk Low-ka Byk.

— Co on właściwie ma pod czapką, ten Beniek? — zapytał nieboszczyk Byk. Jednooki Gracz wydał swoją opinię:

— Benia mówi mało, ale on mówi smacznie. On mówi mało, ale człowiek ma chęć, żeby on jeszcze coś powiedział.

— Jeżeli tak — zawołał nieboszczyk Low-ka — to wypróbujmy go na Tartakowskim.

— Wypróbujemy go na Tartakowskim — postanowiła rada i każdy, w którym było jeszcze trochę sumienia, rumienił się, słysząc tę decyzję. Dlaczego się rumienił? Dowie się pan, jeśli pójdiesz pan tam, dokąd ja pana prowadzę. Tartakowskiego nazywano u nas „półtora Żyda” albo „dziewięć napadów”. „Półtora Żyda” nazywano go dlatego, że w jednym Żydzie nie mogło zmieścić się tyle czelności i pieniędzy, ile miał Tartakowski. Był wyższy od najwyższego policjanta w Odessie, a grubszy był niż najgrubsza Żydówka. „Dziewięć napadów” zaś mówiono o nim dlatego, że firma Lowka Byk i spółka zrobiła na kantor Tartakowskiego nie osiem i nie dziesięć napadów, a właśnie dziewięć.

52

Beni, który nie był wtedy jeszcze Królem, przypadł honor dokonania dziesiątego napadu na „półtora Żyda”. Kiedy go Froim o tym zawiadomił, Benia powiedział „owszem” i wyszedł trzaskając drzwiami. Dlaczego Benia trzasnęła drzwiami?

Dowie się pan, jeśli pójdiesz pan tam, dokąd ja pana prowadzę.

Tartakowski ma duszę zbója, ale on jest nasz. On wyszedł spośród nas. To nasza krew. To nasza kość, jakby jedna i ta sama mama nas rodziła. Pół Odessy pracuje w jego kramach. I przez naszych z Mołdawanki też ucierpiał. Dwa razy porwali go oni dla okupu, a raz podczas pogromu urządzili mu nawet pogrzeb z żałobnymi pieniami. Pałkarze ze Słobody bili wtedy Żydów na Wielkiej Arnauckiej.

Tartakowski uciekł przed nimi i nagle spotyka orszak pogrzebowy z chórami na Sofijskiej. Pyta więc:

— Kogo to chowacie z taką pompą?

Przechodnie odpowiedzieli, że to pogrzeb Tartakowskiego. Orszak doszedł do Słobodzkiego cmentarza. I wtedy nasi wyjęli z trumny kulomiot i zaczęli sypać w słobodzkich pałkarzy. Ale „półtora Żyda” tego nie przewidział. „Półtora Żyda” zląkł się na śmierć. A kto by się nie zląkł na jego miejscu?

Dziesiąty napad na człowieka, którego już raz pochowano — to był gruby nietakt.

Benia, który nie był wtedy Królem, zrozumiał to lepiej niż ktokolwiek inny. Ale on powiedział Graczowi „owszem” i tegoż

53

dnia napisał do Tartakowskiego list-podobny do wszystkich listów tego rodzaju:

„Wielce szanowny panie Tartakowski! Bądź pan łaskaw położyć do soboty pod beczką z deszczową wodą...” i tak dalej. „W wypadku odmowy, na co pan sobie ostatnio zaczął pozwalać, czeka pana duże rozczarowanie w pańskim życiu rodzinnym. Z szacunkiem, znany panu z pewnością, Ben-cjon Krzyk”.

Tartakowski się nie lenił i odpowiedział bez zwłoki:

„Benia, gdybyś ty był idiota, to ja bym ci odpisał jak idiocie. Ale ja ciebie za takiego nie mam i niech mnie Bóg broni, żebyś miał za takiego mieć. Ty chyba robisz ze siebie małe dziecko. Czy ty wcale nie wiesz, że w tym roku w Argentynie jest taki urodzaj, że choć w pysk daj, i my z naszą pszenicą siedzimy bez odbytu?... I ja ci powiem kładąc rękę na sercu, że mi się znudziło na starość jeść taki gorzki kawałek chleba i przeżywać takie nieprzyjemności po tym, kiedy naharowałem się przez całe życie jak ostatni tragarz. I co ja zyskałem z tej całej bezterminowej katorgi? Cholerę w bok, kłopoty i bezsenność. Daj spokój względem tych głupstw, Benia. Twój przyjaciel o wiele bardziej, niż możesz sobie wyobrazić — Ruwim Tartakowski”.

„Półtora Żyda” zrobił swoje. Napisał list. Ale poczta nie doręczyła listu według adre-

54

su. Nie otrzymawszy odpowiedzi Benia wpadł w złość. Następnego dnia zjawił się z czterema przyjaciółmi w kantorze Tartakowskiego. Czterech młodzieńców w maskach i z rewolwerami wpadło do lokalu.

— Ręce do góry! — krzyknęli i zaczęli wymachiwać pistoletami.

— Pracuj spokojniej, Salomon — zwrócił uwagę Benia temu, który krzyczał głośniej od innych — nie miej tego zwyczaju, żeby się denerwować przy robocie — i zwracając się do oficjalisty białego jak śmierć i żółtego jak glina, spytał go:

— „Półtora Żyda” w zakładzie?

— Pana nie ma w zakładzie — odpowiedział oficjalista nazwiskiem Muginsztejn, który miał na imię Józef i był nieżonatym jeszcze synem cioci Pesi, handlarki drobiem z placu Seredyńskiego.

— No to kto tu będzie w końcu za gospodarza? — zaczęli tamci pytać nieszczęsnego Muginsztejna.

— Ja tu będę za gospodarza — powiedział oficjalista, zielony jak zielona trawa.

— No to otwórz nam kasę w imię Boże! — rozkazał mu Benia i zaczęła się opera w trzech aktach.

Nerwowy Salomon składał do walizki pieniądze, papiery, zegarki i monogramy; nieboszczyk Józef stał przed nim z podniesionymi rękoma, a tymczasem Benia opowiadał historie z życia narodu żydowskiego.

55

— Skoro jeżeli on zgrywa się na Rotszyl-da — mówił Benia o Tartakowskim — to niech go szlag trafi. Wytłumacz mi, Muginsztejn, jak przyjacielowi: zaczynam z facetem korespondencję handlową, to dlaczego nie miałby wsiąść do tramwaju za pięć kopiejek i wstąpić do mojego mieszkania, i wypić w moim rodzinnym gronie kieliszek wódki, i przegryźć, czym Bóg dał? Co mu przeszkadzało zwierzyć się przede mną? „Benia — mógł sobie powiedzieć — tak a tak, tu masz mój bilans, poczekaj te parę dni, daj mi złapać oddech, daj mi się ruszyć”. Co ja bym mógł mu na to powiedzieć? Świnia ze świnia się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem — owszem. Muginsztejn, tyś mnie zrozumiał?

— Ja pana zrozumiałem — powiedział Muginsztejn i skłamał, nie mógł bowiem wcale zrozumieć, dlaczego „półtora Żyda”, ogólnie szanowany bogacz i wodzirej, miałby jechać tramwajem, żeby coś przegryźć z rodziną furmana Mendla Krzyka. A tymczasem nieszczęście snuło się pod oknami jak żebrak o świcie. Nieszczęście z hałasem wdarło się do kantoru. I chociaż tym razem przybrało postać Żyda Sawki Bu-cisa, ale było pijane jak woziwoda.

— Ho, ho, ho! — wrzasnął Sawka. — Wybacz mi, Beniek, spóźniłem się — i zaczął tupać nogami i machać rękoma. Potem wystrzelił i kula trafiła Muginsztejną w brzuch.

56

Czy trzeba tu słów? Był człowiek i oto nie ma człowieka. Żył sobie niewinny kawaler jak ptaszek na gałązce — i oto zginął przez takie głupstwo. Przyszedł facet, podobny do marynarza, i strzelił nie do jakiejś tam premiowej butelki, tylko człowiekowi w brzuch. Czy trzeba tu słów?

— Wrywać z kantoru! — krzyknął Benia i wyskoczył ostatni. Ale na odchodnym zdążył powiedzieć Bucisowi:

— Przysięgam na grób mojej matki, Sawka, ty będziesz leżał obok niego...

A teraz powiedz mi, młody panie, który odcinasz kupony od cudzych akcji, jak by pan postąpił na miejscu Beni Krzyka? pan nie wie, jak postąpić. A on wiedział. Dlatego on jest Królem, a my z panem siedzimy na murze drugiego żydowskiego cmentarza i osłaniamy się przed słońcem dłońmi.

Nieszczęsny syn cioci Pesi umarł nie od razu. W godzinę potem, jak odwieziono go do szpitala, zjawił się tam Benia. Kazał wywołać naczelnego lekarza i pielęgniarkę, po czym oświadczył im nie wyjmując rąk r kieszeni kremowych spodni:

— Ja mam życzenie — powiedział — żeby chory Józef Muginsztejn wyzdrowiał. Przedstawiam się na wszelki wypadek — Беуцион Krzyk. Kamforę, poduszki tlenowe, separatkę możecie dawać bez krepacji. Jeżeli nie, to na każdego doktora, niechby sobie

57

był nawet doktorem filozofii, przypadnie nie więcej niż trzy arszyny ziemi.

I mimo to Muginsztejn umarł tej samej nocy. I dopiero wtedy „półtora Żyda” podniósł krzyk na całą Odessę.

— Gdzie zaczyna się policja — wrzeszczał — a gdzie kończy się Benia?

— Policja kończy się tam, gdzie zaczyna się Benia — odpowiadali rozsądni ludzie, ale Tartakowski nie chciał się uspokoić i doczekał się tego, że czerwony automobil z kurantem zagrał na Seredyńskim placu swój pierwszy marsz z opery „Śmieję się, pajacu”. W biały dzień samochód zajechał przed domek, w którym mieszkała ciocia Pesia.

Automobil łomotał kołami, pluł dymem, błyszczał miedzią, cuchnął benzyną i grał arie na swojej trąbce sygnałowej. Z automobilu ktoś wyskoczył i poszedł do kuchni, gdzie na podłodze z gołej ziemi tłukła się małeńka ciocia Pesia. „Półtora Żyda” siedział na krześle i machał rękoma.

— Chuligańska mordko! — krzyknął on widząc gościa. — Bandyto, żeby cię święta ziemia nie nosiła. Ładną modę sobie zaprowadził — zabijać żywych ludzi...

— Mes je Tartakowski — powiedział mu Benia Krzyk cichym głosem — mija właśnie druga doba, jak ja oplakuję naszego drogiego zmarłego niby rodzzonego brata. Ale ja wiem, że pan gwizdże sobie na moje młode łzy. Wstyd, mes je Tartakowski. W jakiej ka-

58

sie ogniotrwalej schowałeś pan wstyd? Pan miałeś serce posłać matce naszego nieboszczyka Józefa sto nędznych karbowańców? Mózg razem z włosami stanął mi dęba, kiedy usłyszałem tę nowinę.

Tu Benia zrobił pauzę. Miał na sobie czekoladowy zakiet, kremowe spodnie i malinowe sztyblety.

— Dziesięć tysięcy jednorazowo — ryknął — dziesięć tysięcy jednorazowo i rentę aż do samej jej śmierci, niech żyje do stu dwudziestu lat. A jak nie, to wyjdziemy z tego lokalu, mesje Tartakowski, i wsiądziemy do mojego automobilu...

Potem oni się ze sobą kłócili. „Półtora Żyda” kłócił się z Benią. Nie było mnie przy tej kłótni. Ale ci, co byli, to pamiętają. Zgodzili się wreszcie na pięć tysięcy gotówką i pięćdziesiąt rubli co miesiąc.

— Proszę cioci Pesi — powiedział wtedy Benia do potarganej staruszki tarzającej się po ziemi — jeżeli cioci potrzebne jest moje życie, to może je ciocia dostać, ale wszyscy są omylni, nawet Bóg. To była fatalna omyłka, ciociu Pesiu. Ale czy ze strony Pana Boga nie było omyłką osiedlić Żydów w Rosji, żeby męczyli się jak w piekle? I co by w tym było złego, gdyby Żydzi mieszkali w Szwajcarii, w otoczeniu pierwszorzędných jezior, górzystego powietrza i samych Francuzów? Wszyscy są omylni, nawet Bóg, ciociu Pesiu, niech mnie ciocia słucha na własne

59

uszy. Ciocia ma pięć tysięcy do ręki i pięćdziesiąt rubli miesięcznie do samej śmierci — żeby ciocia żyła sto dwadzieścia lat. Józef będzie miał pogrzeb pierwszej klasy: sześć koni jak sześć lwów, dwa powozy z wieńcami, chór z Brodzkiej synagogi, sam Minko wski przyjdzie odprawić modły za cioci syna nieboszczyka...

I pogrzeb odbył się nazajutrz rano. O ten pogrzeb może pan spytać cmentarnych żebraków. Niech pan spyta szamesów z synagogi, handlarzy koszerem drobiem albo staruch z drugiego przytułku. Takiego pogrzebu Odessa jeszcze nie widziała, a świat już nie zobaczy. Stójkowi tego dnia wdziali niciane rękawiczki. W bóżnicach umajonych zielenią i otwartych na oścież płonęła elektryczność. Na białych koniach zaprzężonych do karawanu kołysały się czarne pióropusze. Sześćdziesięciu chórzystów szło na czele konduktu. Chórzyści byli chłopcami, ale śpiewali kobiecymi głosami. Starostowie synagogi przekupniów koszernego drobiu prowadzili ciocię Pesię pod rękę. Za starostami szli członkowie związku biuralistów--starozakonnych, a za starozakonnymi biura-listami — adwokaci, doktorowie medycyny i położne dyplomowane. Z jednego boku cioci Pesi kroczyły handlarki kur ze Starego Bazaru, a z drugiego boku kroczyły pełne dostojeństwa mleczarki z Bugajewki, okręcone, pomarańczowymi szalami.

Mleczarki tu-

60

pały nogami jak żandarmi na defiladzie w dzień galowy. Od ich szerokich bioder bił zapach morza i mleka. A z tyłu wlekli się oficjaliści Ruwima Tartakowskiego. Było ich stu albo dwustu, albo i dwa tysiące. Nosili czarne surduty z jedwabnymi klapami i nowe buty, które skrzypiały jak prosięta w worku.

I oto zacznę mówić, jak mówił Pan na górze Synaj z płonącego krzaka. Nastaw pan uszu na to, co powiem. Wszystko, com widział, widziałem na własne oczy siedząc tu, na murze drugiego cmentarza, obok sepleniącego Moska i Szymsona z zakładu pogrzebowego. Widziałem to ja, Arie-Lejb, godny Żyd, żyjący przy umarłych.

Karawan zajechał pod synagogę cmentarną. Trumnę postawiono na stopniach. Ciocia Pesia drżała jak ptaszek. Kantor wygramolił się z faetonu i zaintonował pienia żałobne. Sześćdziesięciu chórzystów wtórowało mu. I w takiej chwili czerwony automobil wypadł z zakrętu. Zagrał „Śmieję się, pajacu" i zahamował. Ludzie milczeli jak zabici. Milczały drzewa, chórzyści, żebracy. Czterech ludzi wychyńło spod czerwonego daszka i wolnym krokiem zaniósł do karawanu wieniec niewiarygodnych róż. A kiedy nabożeństwo się skończyło, ci czterej podsunęli pod trumnę swoje stalowe ramiona, by z gorejącym okiem i wypiętą piersią nieść ją

61

wspólnie z członkami związku biuralistów--starozakonny eh.

Pierwszy szedł Benia Krzyk, którego nikt jeszcze wtedy nie nazywał Królem. Pierwszy zbliżył się do grobu, wszedł na kopczyk i wyciągnął przed siebie dłoń. — Co pan chce robić, młodzieńcze? — podbiegł do niego Kofman z bractwa pogrzebowego.

— Chcę wygłosić mowę — odpowiedział Benia Krzyk.

I wygłosił tę mowę. Słyszeli ją wszyscy, którzy chcieli słyszeć. Słyszałem i ja, Arie--Lejb, i sepleniący Mosiek, który siedział obok mnie na murze.

— Panowie i damy — powiedział Benia Krzyk — panowie i damy — powiedział i słońce stanęło nad jego głową jak sztyldwach z karabinem. — Przyszliście oddać ostatnią posługę uczciwemu człowiekowi pracy, który zginął za marny grosz. W imieniu własnym oraz w imieniu tych wszystkich, którzy nie są tu obecni, dziękuję wam. Panowie i panie! Co widział nasz drogi Józef w swoim życiu? On widział parę głupich drobiazgów. Czym się trudził? On liczył cudze pieniądze. Za co zginął? On zginął za całą klasę pracującą. Są ludzie już napiętnowani przez śmierć i są ludzie, którzy jeszcze nie zakosztowali życia. I oto kula lecąca w pierś napiętnowaną przesywa Józefa, który nie widział w swoim życiu nic prócz paru

62
głupich drobiazgów. Są ludzie umiejący pić wódkę i są ludzie nie umiejący pić wódki, lecz mimo to pijący ją. I oto pierwszi mają satysfakcję i z doli, i z niedoli, a ci drudzy cierpią za wszystkich, którzy piją wódkę, nie umiejąc jej pić. Dlatego też, panowie i panie, po modlitwie za duszę naszego biednego Józefa ja was zapraszam na wyprowadzenie zwłok nie znanego wam, ale już nieżyjącego Sawelego Bucisa...

I po wygłoszeniu tej mowy Benia zszedł z kopczyka. Milczeli ludzie, drzewa i cmentarni żebracy. Dwaj grabarze wnieśli nie malowaną trumnę na sąsiednią kwaterę. Kantor zacinając się dokończył modlitwy. Benia rzucił pierwszą łopatę i przeszedł do grobu Sawki. Za nim ruszyli jak owce wszyscy adwokaci i damy z broszkami. Benia zmusił kantora, by odprawił nad Sawką pełne nabożeństwo żałobne, i sześćdziesięciu chórzystów wtórowało kantorowi. Sawce nie marzył się nawet taki obchód — niech pan wierzy słowu Arie-Lejba, sędziwego starca. Powiadają, że tego dnia „półtora Żyda” postanowił zamknąć swój interes. Mnie przy tym nie było. Ale to, że ani kantor, ani chór, ani bractwo pogrzebowe nie żądali grosza za pochówek — to widziałem na własne oczy, oczy Arie-Lejba. Arie-Lejb — tak się właśnie nazywam. I więcej nic nie mogłem zobaczyć, bo ludzie, odsunawszy się cichutko od grobu Sawki, rzucili się do ucieczki jak

63
od pożaru. Umykali faetonami, furmankami i na piechotę. I tylko tych czterech, co przyjechało czerwonym automobilem, odjechało w ten sam sposób. Kuranty zagrały swojego marsza, samochód drgnął i przepadł.

— Król — patrząc mu w ślad powiedział sepleniący Mosiek, ten sam, co zabiera mi najlepsze miejsca na murze.

Teraz pan wie wszystko. Pan wie, kto pierwszy powiedział „król”. To był Mosiek. Pan wie, dlaczego on nie nazwał tak ani jednookiego Gracza, ani wściekłego Kolki: Pan wie wszystko. Ale co z tego za pożytek, jeżeli ma pan dalej na nosie okulary, a w duszy jesień?...

Tłum. Jerzy Pomianowski

Ojciec

Froim Gracz był kiedyś żonaty. Było to dawno i od tego czasu minęło dwadzieścia lat. Żona urodziła wtedy Froimowi córkę i umarła w połogu. Córce dano na imię Basia. Jej babcia po matczynej linii mieszkała w Tulczynie.

Stara zięcia swego nie lubiła. Mawiała o nim: Froim jest z zawodu furmanem i ma karę konie, ale dusza jego jest czarniejsza niż czarna maść jego koni...

Stara nie lubiła zięcia i zabrała niemowlę do siebie. Mieszkała z dziewczyną dwadzieścia lat, a potem umarła. Wówczas Baśka wróciła do swego ojca. Zdarzyło to się tak.

Piątego, w środę, Froim Gracz woził do portu na frachtowiec „Caledonia” pszenicę ze składów firmy Dreifus. Pod wieczór skończył robotę i pojechał do domu.

Skracając z Prochorowskiej spotkał kowala Iwana Pia-tirubla.

— Szanowanie, Gracz — powiedział Iwan Piatirubel — jakaś kobieta dobija się do twojego mieszkania...

Gracz pojechał dalej i zobaczył na swoim podwórku niewiastę olbrzymiego wzrostu. Miała nad wyraz szerokie biodra i poliki koloru cegły.

S — Opowiadania...

65

— Tatuniu — powiedziała niewiasta grzmiącym basem — diabli już mnie biorą z nudów. Czekam na tatunia cały dzień... Tatunio chyba wie, że babcia z Tulczyna umarła.

Gracz stał na rolwadze i wytrzeszczał oczy na córkę.

— Nie wierć się przed końmi — krzyknął w uniesieniu — bierz dyszlowego za uzdę, ty chcesz mi konie poharatać?!

Gracz stał na rolwadze i wymachiwał batem. Baśka wzięła dyszlowego za uzdę i poprowadziła konie pod stajnię. Wyprzęgła je i zaczęła gospodarować w kuchni. Dziewczyna rozwiesiła na sznurze ojcowskie onuce, wyszorowała piaskiem zakopcony imbryk i wzięła się do odgrzewania zrazów w żelaznej rynce.

— Wprost niemożliwość, jakie tu u tatunia brudy — powiedziała i wyrzuciła przez okno rozkisie baranice walające się na podłodze — ale ja skończę z tymi brudami — krzyknęła Baśka i podała ojcu kolację.

Stary napił się wódki z emaliowanego im-bryka i zjadł zraz pachnący jak szczęśliwe dzieciństwo. Potem wziął bat i wyszedł przed bramę. W ślad za nim przyszła tam i Baśka. Włożyła męskie sztyblety i pomarańczową suknię, włożyła kapelusz obwieszony ptakami i usadowiła się na ławce. Wiatr krążył koło ławki, lśniące oko zachodu zapadało się w morze za Pieresypem i niebo było czerwono-

66
ne jak świąteczna data w kalendarzu. Cały handel na Dalnickiej już się skończył i korowód bandytów przeciągnął w stronę głuchego zaułka, gdzie stał dom publiczny Joska Samuelsona. Bandyci jechali w lakierowanych powozach, wystrojeni jak kolibry, w kolorowych marynarkach. Jechali bałuszając oczy, z jedną nogą opuszczoną na stopień, a w stalowej wyciągniętej ręce trzymali po bukiecie zawiniętym w bibułę. Lakierowane dorożki sunęły stępą, w każdej dorożce siedział jeden tylko pasażer z bukietem, a dorożkarze sterczący na wysokich kozłach strojni byli w kokardy jak družbowie na weselu.

Stare Żydówki w perukach leniwie przyglądały się tokowi znajomej tej procesji — stare Żydówki zobojętniały już na wszystko — i tylko synowie sklepikarzy oraz majstrów ze stoczni zazdrościli królom Mołda-wanki.

Salomończyk Kapłun, syn kupca kolonialnego, i Monia-Artylerzysta, syn szmuglera, znajdowali się w liczbie tych, którzy starali się odwrócić wzrok od blasku cudzego powodzenia. Obaj przedefilowali przed Bašką kołuszając się jak dziewczyny, które poznały już miłość, poszeptali między sobą i jęli ruszać rękoma pokazując, jak obejmowaliby Baškę, gdyby tylko zapragnęła tego. I oto Baśka natychmiast tego zapragnęła, ponieważ była prostą dziewczyną z Tulczyna,

5*

67
z pazerneho, kaprawego miasteczka. Ważyła pięć pudów i jeszcze parę funtów. Całe życie spędziła wśród przebiegłego pomiotu podolskich maklerów, ochweśników i dostawców z branży drzewnej i nigdy nie widziała takich ludzi jak Salomończyk Kapłun. Gdy go więc zobaczyła, zaczęła szurać po ziemi grubymi nogami, obutymi w męskie sztyblety, i powiedziała do ojca:
— Tatuniu — odezwała się grzmiącym głosem — niech tatunio popatrzy na tego kawalera. On ma nóżki jak laleczka, ja bym zadusiła te nóżki...

■— Ehe, panie Gracz — szepnął wówczas stary Żyd siedzący opodal, stary Żyd nazwiskiem Gołubczyk — widzę, że pańską latorośl ciągnie na świeżą trawkę...
— Nie miała baba kłopotu — odpowiedział Froim Gołubczykowi, pomachał biczem, poszedł spać do swojej izby i spał spokojnie, bo nie uwierzył staruszkowi. Nie uwierzył staruszkowi i okazało się, że wcale nie miał racji. Rację miał Gołubczyk. Gołubczyk uprawiał na naszej ulicy rzemiosło swata, nocami czytał modlitwy nad zamożnymi nieboszczykami i wiedział o życiu wszystko, co można wiedzieć. Froim Gracz nie miał racji. Rację miał Gołubczyk.

I rzeczywiście, od tego dnia Baśka wszystkie swoje wieczory spędzała przed bramą. Siedziała na ławce i szyła sobie wyprawę. Kobiety w ciąży siedziały obok niej, zwały

68

plótka pełzły po jej rozkraczonych, potężnych kolanach, ciężarne baby nabrzmiewały różnymi różnościami, jak krowie wymię nabrzmiewa na pastwisku różowym mlekiem wiosny, a przez ten czas mężowie ich, jeden za drugim, wracali z pracy. Mężowie pyskatych żon wyżyłali pod kranem rozczochrane swoje brody ustępując potem miejsca garbatym staruchom. Staruchy kąpały w korytach tłuste niemowlęta, klepały wnuków po lśniących pośladkach i zawijały ich w stare swoje halki. I oto Baśka z Tulczyzna zobaczyła życie Mołdawanki, szczodrej naszej macierzy, życie zapchane cyckającymi niemowlętami, suszącymi się szmatami i nocami poślubnymi, pełnymi podmiejskiego szyku i żołnierskiej wytrwałości. Dziewczyna zapragnęła także dla siebie takiego życia, ale tu dowiedziała się, że córka jednookiego Gracza nie może liczyć na dobrą partię. Wówczas przestała zwać ojcem swego ojca. — Ryży złodzieju — krzyczała wieczorami — ryży złodzieju, masz tu kolację...

I ciągnęło się to dopóty, dopóki Baśka nie uszyła sobie sześciu nocnych koszul i sześciu par majtek z koronkową falbanką. Skończywszy przyszywać koronkę, zapłakała cieniem głosem, niepodobnym do jej głosu, i powiedziała przez łyżę do niewzruszonego Gracza:

— Każda dziewczyna — powiedziała mu — ma swój cel w życiu i tylko ja jedna żyję

69

jak stróż nocny przy cudzym składzie. Albo tatunio coś ze mną zrobi, albo ja zrobię koniec ze swoim życiem...

Gracz wysłuchał swoją córkę do końca, wdział kurtkę brezentową i następnego dnia udał się w gości do kupca kolonialnego Kapłuna na Przywoźny plac. Nad sklepem Kapłuna błyszczał złoty szyld. To był najpierwszy sklep na Przywoźnym placu. Stały w nim zapachy niezliczonych mórz i wspaniałego, nie znanego nam życia. Chłopak skrapiał polewaczką chłodną głębię magazynu i śpiewał piosenkę, którą wypada śpiewać tylko dorosłym. Salomończyk, syn pryncypała, stał za ladą; na ladzie zaś stały oliwki z Grecji, marsylska oliwa, kawa ziarnista, malaga z Lizbony, sardynki firmy „Philippe & Canot” i pieprz kajeński. Sam Kapłun siedział w samej kamizelce na słonecznym skwarze w oszklonej przybudówce i jadł arbuz — czerwony arbuz z czarnymi pestkami skośnymi jak oczy przewrotnych Chinek. Brzuch Kapłuna leżał na stole w pełnym słońcu i słońce nie mogło sobie z nim poradzić. Ale potem kupiec kolonialny zobaczył Gracza w brezentowej kurtce i zbladł.

— Dzień dobry, mes je Gracz — powiedział i odsunął się. — Gołubczyk uprzedził mnie, że pan wpadnie, i ja przygotowałem dla pana funcik herbaty, że to wprost rzadkość...

70

I zaczął mówić o nowym gatunku herbaty, dostarczonym do Odessy przez holenderską linię. Gracz słuchał go cierpliwie, ale w końcu przerwał mu, bo był prostym człowiekiem i nie lubił wykrętów.

— Jestem prostym człowiekiem i nie lubię wykrętów — powiedział Froim — trzymam się swoich koni i swojej roboty. Baśka może liczyć na nową bieliznę, na parę starych groszy i na mnie samego na dodatek. Komu to nie wystarcza, tego niech ogień spali...

— Po co zaraz ogień? — odpowiedział Kapłun prędziutko i pogładził rękę furmana. — Po co takie słowa, mes je Gracz, przecież wiadomo, że z pana taki człowiek, co może pomóc drugiemu człowiekowi i swoją drogą może pan też drugiemu człowiekowi zrobić krzywdę, a co do tego, że z pana nie krakowski rabin, to ja też nie brałem ślubu z kuzynką barona Mozesa Montefiore, tylko że... że madame Kapłun... jest tu przecież madame Kapłun, wielka dama, od której sam Bóg się nie dowie, czego ona właściwie chce...

— A ja wiem —• przerwał Gracz kupcowi — ja wiem, że Salomończyk chce Baśki, ale za to madame Kapłun nie chce mnie...

— A tak, ja pana nie chcę — krzyknęła wówczas madame Kapłun, która podsłuchiwała przy drzwiach i wkroczyła do szklanej przybudówki, cała w pąsach i z falującą

71

piersią — ja nie chcę pana, panie Gracz, jak człowiek nie chce śmierci; ja pana nie chcę, jak narzeczona nie chce przyszczy na głowie. Nie zapominaj pan, że nasz dziadek był kupcem kolonialnym i my powinniśmy trzymać się swojej branży...

— Trzymajcie się swojej branży — odpowiedział Gracz rozplómonionej madame Kapłun i wrócił do swego domu.

Czekała tam na niego Baśka, wystrychnięta w pomarańczową suknię, ale stary ani na nią spojrzął, rozesłał sobie kożuch pod platformami, położył się spać i spał, póki potężna łapa Baśki nie wyrzuciła go spod platformy.

— Ryży złodzieju — powiedziała dziewczyna szeptem niepodobnym do jej szeptu

— z jakiej racji mam znosić twoje furmańskie maniery i dlaczego ty milczysz jak pień, ryży złodzieju...

— Baśka — odezwał się Gracz — Salo-mończyk ma na ciebie chęć, ale madame Kapłun nie' ma chęci na mnie... Tam potrzebny jest kupiec kolonialny.

I poprawiwszy kożuch stary znów wlaźł pod wozy, a Baśka zniknęła z podwórza...

Wszystko to zdarzyło się w sobotę, w dzień świąteczny. Purpurowe oko zachodu szperające po ziemi natknęło się wieczorem na Gracza chrapiącego pod swoją platformą. Bystry promień wparł się w śpiącego z gorącym wyrzutem i wyprowadził go na ulicę

72

Dalnicką, kurzącą się i połyskującą jak zielone żyto na wietrze. Tatarzy ciągnęli w górę Dalnickiej, Tatarzy i Turcy ze swoimi mułła-mi. Wracali z pielgrzymki z Mekki do domu na stepy orenburskie i Zakaukazie. Parowiec przywiózł ich do Odessy i szli teraz z portu do zajazdu Łubki Sznejwejs o przydomku Łubka Kozak. Pasiaste, sztywne chałaty sterczały na Tatarach i zraszały jezdnię brunatnym potem pustyni. Białe ręczniki zawinięte były wokół ich fezów i była to oznaka człowieka, który złożył hołd prochom proroka. Pątnicy doszli do rogu, skręcili w stronę zajazdu Łubki, ale nie mogli tam wejść, bo przed wrotami zebrał się cały tłum. Łubka Sznejwejs z sakwą na boku była pijanego chłopa i wypychała go na ulicę. Łubka była w pysk zaciśniętą pięścią jak w bęben, a drugą podtrzymywała chłopa, żeby nie upadł. Strużki krwi pełzły chłopu między zębami i koło ucha, chłop z wyrazem zadumy patrzył na Łubkę jak na kogoś obcego, wreszcie upadł na bruk i zasnął. Wówczas Łubka pchnęła go nogą i wróciła do swojego sklepu. Jej stróż Jewzel zamknął za nią wrótne i pomachał ręką Froimowi Graczowi przechodzącemu obok...

— Szanowanie, Gracz — powiedział stróż ■— jeżeli macie życzenie zobaczyć coś życiowego, to chodźcie no tu, jest z czego SIŁ pośmiać...

73

I stróż poprowadził Gracza pod ścianę, gdzie siedzieli pątnicy, którzy przybyli ubiegłego dnia.

Stary Turek w zielonym turbanie, stary Turek, zielony i lekki jak liść, leżał na trawie. Był oblany perlistym potem, ciężko dyszał i toczył oczyma.

— Proszę — powiedział Jewzel i poprawił medal na wytartej swojej marynarce — tu macie życiowy dramat z opery „Turecki święty”. Starowinka już kona, ale nie wolno wezwać do niego doktora, bo ten, komu się zemrze po drodze od boga Muhameda do domu, tego oni mają za największego szczęściarza i bogacza... — Chałwasz — zawołał Jewzel do konającego i zachichotał — tu idzie doktor i będzie cię leczyć...

Turek spojrział na stróża z dziecinnym lękiem i nienawiścią, po czym odwrócił twarz. Wtedy Jewzel, kontent z siebie, zaprowadził Gracza na przeciwległą stronę dziedzińca, do winiarni. W piwniczce paliły się już lampy i grała muzyka. Starzy Żydzi o ciężkich brodach grali rumuńskie i żydowskie pieśni. Mendel Krzyk pił przy stole wino z zielonego szkła i opowiadał, jak go pokaleczyli rodzeni synowie — starszy, Benia, i młodszy, Lowka.

Wyrykiwał swoją historię chrapliwie i strasznym głosem, pokazywał te wybite swoje zęby i dawał macać rany na brzuchu. Wołyńscy cadykowie o porcelanowych

twa-
74

rzach stali przy jego stole i słuchali w osłupieniu przechwałek Mendla Krzyka. Dziwiło ich wszystko, co słyszeli, i Gracz gardził nimi za to.

— Stary chwalipięta — mruknął o Mendlu i zamówił sobie wino.

Potem Froim przywołał szefową, Łubkę Kozak. Łubka kleła w drzwiach i piła wódkę na stojaka.

— Gadaj — krzyknęła do Froima i z pasji zaczęła zezować.

— Madame Łubka — rzekł Froim sadzając ją obok siebie — z pani jest mądra kobieta i przyszedłem do pani jak do rodzonej mamy. Ja liczę na panią, madame Łubka —■ przede wszystkim na Boga, a zaraz potem na panią.

— To gadaj — zawołała Łubka, poszwen-dała się jeszcze po całej piwnicy i wreszcie wróciła na swoje miejsce.

I Gracz powiedział:

— W swoich osadach — mówił — nasi Niemcy mają obfite zbiory pszenicy, a w Konstantynopolu towary kolonialne idą za pół darmo. Pud oliwek kupuje się w Konstantynopolu za trzy ruble, a sprzedaje się je tu po trzydzieści kopiejek funt... Kupcom kolonialnym dobrze się dziś wiedzie, madame Łubka, kupcy kolonialni się roztyli i jeżeli wziąć się do nich delikatnie, to człowiek mógłby wygrać szczęśliwy los... Ale ja muszę sobie sam radzić z całą robotą, nieboszczyk

75

Lowka Byk umarł, nie mam znikąd pomocy i zostałem sam jeden, jak jeden jest Bóg na niebie.

— A Benia Krzyk? — powiedziała na to Łubka. — Wypróbowałeś go już na Tarta-kowskim, dlaczego Benia Krzyk ma być zły?

— Benia Krzyk? — powtórzył Gracz zaskoczony. — Iz niego jeszcze kawaler, zdaje mi się?

— Kawaler — powiedziała Łubka — niech się ochajtnie z Baską, daj mu pieniędzy, zrób z niego człowieka...

— Benia Krzyk — powtórzył stary jak echo, jak dalekie echo — nie pomyślałem o nim...

Wstał mamrocząc i zacinając się. Łubka pobiegła przodem i Froim pobrnął za nią. Wyszli na dziedziniec i wdrapali się na pierwsze piętro. Tam, na pierwszym piętrze, mieszkały kobiety, które Łubka trzymała dla przyjezdnych.

— Nasz przyszły jest u Katuszy — oznajmiła Łubka Graczowi. — Zaczekaj na mnie w korytarzu — i weszła do ostatniego pokoju, gdzie Benia Krzyk leżał z kobietą imieniem Katusza.

— Dość tego zbijania baków — oświadczyła szefowa młodzieńcowi — nasamprzód, Beniuś, trzeba się jakoś urządzić, a potem dopiero można zbijać baki... Froim Gracz

76

ię szuka. Gracz szuka człowieka do roboty i nie może znaleźć.

I opowiedziała wszystko, co wiedziała o Baśce i o interesach jednookiego Gracza.

— Pomyślę o tym — odrzekł Benia, przykrywając prześcieradłem gołe nogi Katuszy — ja pomyślę, niech stary zaczeka na mnie.

— Zaczekaj na niego — powiedziała Łubka Froimowi, stojącemu w korytarzu — zaczekaj na niego, on pomyśli...

Szefowa przysunęła Froimowi krzesło i Froim zatopił się w bezkresnym oczekiwaniu. Za ścianą Katusza postękiwała i zanosila się śmiechem. Stary podzemał ze dwie godziny, a może i więcej. Wieczór już dawno przemienił się w noc, niebo poczerniało i mlecze jego drogi wypełniły się złotem, blaskiem i chłodem. Piwniczka Łubki była już zamknięta, pijacy poniewierali się na dziedzińcu jak połamane meble i stary muła w zielonym turbanie zmarł przed północą. Później muzyka nadciągnęła od morza, waltornie i trąby z angielskich okrętów, muzyka nadciągnęła z morza i ucichła, ale Katusza, rzetelna Katusza wciąż jeszcze rozpalala dla Beni Krzyka swój malowany, swój ruski i rumiany raj. Katusza stękała za ścianą i zanosila się śmiechem; stary Froim siedział bez ruchu pod jej drzwiami, Froim czekał do pierwszej w nocy, ale wreszcie zapukał.

77

— Człowieku — powiedział — czy ty kpisz sobie ze mnie?

Wtedy Benia otworzył wreszcie drzwi pokoju Katuszy.

h— Mesje Gracz — powiedział promieniejąc i zasłaniając się w zażenowaniu prześcieradłem — pókiśmy młodzi, to nam się zdaje, że kobieta to jest rzecz, ale przecież to tylko słoma, która pali się od byle czego...

I przyodziawszy się, Benia poprawił pościel Katuszy, wzruszył poduszki i wyszedł ze starym na ulicę. Spacerując doszli do rosyjskiego cmentarza i tam, przy cmentarzu, zostały uzgodnione interesy Beni Krzyka i jednookiego Gracza, starego rabusia. Zostało ustalone, że Baśka wniesie przysłemu mężowi trzy tysiące rubli posagu, dwa konie czystej krwi i perłową kolia. Ustalono też, że Kapłun musi zapłacić dwa tysiące rubli Beni, narzeczonemu Baški. Miał na sumieniu grzech pychy rodowej — ten Kapłun z Przywoźnego placu, co wzbogacił się na kpnstantynopolskich oliwkach, co nie użalił się nad pierwszą miłością Baški — i dlatego Benia Krzyk postanowił wziąć na siebie zadanie ściągnięcia z Kapłuna dwóch tysięcy rubli.

— Ja to biorę na siebie, tatuniu — powiedział przysłemu swemu teściowi — Bóg nam dopomoże i my ukarzymy wszystkich kupców kolonialnych...

Powiedziane to było o świecie, kiedy noc

już minęła. I tu właśnie zaczyna się nowa historia, historia upadku domu Kapłunów, opowieść o powolnej jego zagładzie, o podpaleniach i nocnej strzelaninie. I to wszystko — los butnego Kapłuna i los dziewczyny imieniem Baśka — rozstrzygnęło się tej nocy, kiedy jej ojciec i niespodziany jej narzeczony spacerowali wzdłuż rosyjskiego cmentarza. Chłopcy ciągnęli wtedy dziewczęta za ogrodzenie i pocałunki rozlegały się na płytach grobowych.

Tłum. Jerzy Pomianowski

Łubka Kozak

Na Mołdawance, na rogu Dalnickiej i Bał-kowskiej, stoi dom Łubki Sznejwejs. W domu jej mieści się winiarnia, zajazd, skład paszy oraz gołębnik na sto par pawików i winerów. Sklepy te i odcinek numer czterdzieści sześć w odeskich kamieniołomach należą do Łubki Sznejwejs, zwanej Łubką Kozak, a tylko gołębnik jest własnością stróża Jewzela, wysłużonego żołdaka z medalem. W niedzielę Jewzel wychodzi na plac Ochotnicki i sprzedaje gołębie urzędnikom z miasta, a także sąsiedzkim chłopakom. Prócz stróża w obejściu Łubki mieszka jeszcze Pe-sia-Mindł, kucharka i rajfurka, oraz rządcą Cudeczkis, drobnutki Żyd, przypominający z figury i bródki naszego rabina z Mołda-wanki, Ben Zcharię. Znam mnóstwo historii o Cudeczkisie. Pierwsza z nich to historia o tym, jak Cudeczkis został rządcą w zajeździe Łubki o przezwisku Kozak.

Dziesięć lat temu Cudeczkis naraił pewnemu ziemianinowi młockarnię konną i wieczorem zaprowadził dziedzica do Łubki, żeby oblać interes. Klient jego nosił sute wąsy i chodził w lakierowanych wysokich butach, Pesia-Mindł dała mu na kolację faszzerowaną rybę po żydowsku, a następnie bardzo dobrą

80

panienkę imieniem Nastia. Dziedzic został na noc i rano Jewzel obudził Cudeczkisa, zwiniętego w kłębuszek przed progiem pokoju Łubki.

— No proszę — powiedział Jewzel — pan chwalił się wczoraj wieczór, że dziedzic przez pana kupił młockarnię, no to wiedz pan, że on po tej nocy drapnął o świcie jak byle kto... Teraz wyciągaj pan dwa ruble za zagrychę i cztery ruble za panienkę. Chytry widać z pana stary.

Ale Cudeczkis nie oddał pieniędzy. Jewzel wepchnął go do pokoju Łubki i zamknął na klucz.

— No proszę — powiedział stróż — teraz tu sobie posiedzisz, a później Łubka przyjedzie z kamieniołomów i z boską pomocą wy-trzęsie z ciebie duszę. Amen.

— Katorżnik jeden — odpowiedział Cudeczkis żołnierzowi i zaczął rozglądać się po nowym pokoju. — Co ty widzisz, katorżniku, oprócz swoich gołębi? A ja jeszcze wierzę w Boga, który mnie stąd wyprowadzi, jak wyprowadził wszystkich Żydów — z początku z Egiptu, a potem z pustyni...

Mały makler sporo jeszcze chciał powiedzieć Jewzelowi, ale żołnierz zabrał ze sobą klucz i odszedł waląc buciarami. Wówczas Cudeczkis odwrócił się i zobaczył pod oknem kuplerkę Pesię-Mindł, która czytała książkę Cuda i serce Baal-Szema. Czytała chasydzką książkę o złożonych brzegach i kołysała nogą

6 — Opowiadania...

81

dębową kolebkę. W tej kolebce leżał syn Łubki, Dawidek, i płakał.

— Ładne porządki ja tu widzę na tym Sachalinie -^ powiedział Cudeczkis do Pesi-Mindł — leży sobie dziecko i drze się na kawałki, że wprost żal patrzeć, a ta gruba baba siedzi jak kamień w puszczy i nie może dać mu smoczka...

— Daj mu sam smoczek — odpowiedziała Pesia-Mindł nie odrywając się od książki — jeżeli tylko on weźmie jakiś smoczek od takiego starego oszusta.

Przecież on już jest duży jak ten kacap, ale chce mamusinego mleka, a jego mamuśka galopuje po swoich kamieniołomach, pije herbatę z Żydami w traktierni „Pod Niedźwiedziem”, kupuje w porcie kontrabandę i myśli o swoim synu tyle co o zeszłorocznym śniegu...

— No tak — powiedział wówczas do siebie mały makler — jesteś w ręku faraonowym, Cudeczkis. — Podeszedł do wschodniej ściany, wymruczał całą modlitwę ranną z dodatkami i wziął później na ręce płaczące niemowlę.

Zaskoczony Dawidek popatrzył na niego i pomachał malinowymi nóżkami, wilgotnymi od niemowlęcego potu, stary zaś zaczął chodzić po izbie i kiwając się jak cadyk przy modlitwie zanucił nie kończącą się pieśń.

— A-a-a — nucił Cudeczkis — inne dzieci dostaną figę, a nasz Dawidek dostanie pier-

82

niczka, żeby sobie spał i we dnie, i w nocy... A-a-a, inne dzieci dostaną w skórę...

Cudeczkis pokazał synowi Łubki pięść pokrytą szarym włosiem i powtarzał rzecz o figach i pierniczkach dopóty, dopóki chłopczyk nie zasnął i dopóki słońce nie dotarło do samego środka lśniącego nieboskłonu. Słońce dotarło do środka i zadrzało jak mucha obezwładniona upałem. Dzicy chłopcy z Nie-rubajska i Tatarki, którzy stanęli w zajeździe Łubki, wleźli pod wozy i pograżyli się tam w dzikim, zapamiętałym śnie, pijany czeladnik wyszedł za wrota i porzuciwszy strug z piłą rozciągnął się na ziemi, rozciągnął się, zachrapał pośrodku świata, cały w złotych muchach i błękitnych, lipcowych błyskawicach. Opodał niego, w cieniu, usiedli pomarszczeni Niemcy koloniści, którzy przywieźli Łubce wino znad besarabskiej granicy. Zapalili fajki i dym z ich krętych cybuchów jął wikłać się w srebrnej szczecinie nie golonych, starczych policzków. Słońce zwisało z nieba jak różowy język spragnionego psa. Ogromne morze staczało się w dali na Pie-resyp i maszty dalekich statków kołysały się nad szmaragdową wodą Zatoki Odeskiej. Dzień rozsiadł się w malowanym czółnie, dzień żeglował

ku wieczorowi i pod wieczór dopiero, koło piątej, wróciła z miasta Łubka. Łubka przyjechała na myszatej kobyłce o zwisłym brzuchu i nie strzyżonej grzywie. Grubonogi chłopak w perkalowej koszuli

6*

83

otworzył jej wrota. Jewzel przytrzymał konia za uzdę i wtedy Cudeczkis krzyknął do Łubki ze swojej ciemnicy:

— Szanowanie dla pani, madame Sznej-wejs, i dzień dobry. Wyjechała sobie pani na trzy lata za swoimi interesami i podrzuciła mi głodne dziecko...

— Sza, głupia mordo — odpowiedziała Łubka staremu i zszła z siodła — kto to tam trzaska dziobem w moim oknie?

— To jest Cudeczkis, chytry stary — odpowiedział gospodyni żołnierz z medalem i jął opowiadać całą historię z ziemianinem, ale nie zdążył jej skończyć, bo makler przerwał mu wrzeszcząc na całe gardło.

— Co za nachalstwo — wrzasnął i rzucił na ziemię swoją jarmułkę — co za nachalstwo podrzucić komuś cudze dziecko i samemu zniknąć na trzy lata... Niech tu pani idzie dać mu cycka...

—■ A idę, idę do ciebie, aferzysto jeden — mruknęła Łubka i wbiegła po schodach. Weszła do izby i wydobyła pierś spod zakurzonego kaftana.

Chłopczyk rzucił się na nią, pokąsał potężną jej brodawkę, ale nie znalazł mleka. Matce wzdęła się żyła na czole i Cudeczkis powiedział jej trzęsąc jarmułką:

— Pani toby chciała wszystko załapać dla siebie z tej chciwości. Cały świat ciągnie pani w swoją stronę, tak jak dzieci ciągną obrus z okruszkami. Chce się pani pierwszej

84

pszenicy i pierwszych winogron. Chciałaby pani piec sobie chleb wprost na słonecznym żarze, a pani małe dziecko, jak ta gwiazdeczka, niech sobie tymczasem zapłacze się na śmierć bez mleka.

— Jakie tam znowu mleko — krzyknęła kobieta i pocisnęła sobie pierś — kiedy dziś przybił do portu „Plutarch” i zrobiłam piętnaście wiorst w takim upale?... A ty, stary Żydzie, zamiast tych długich pieśni, lepiej byś oddał sześć rubli...

Ale Cudeczkis znowu nie oddał pieniędzy. Rozpiął rękaw, podwinął go i wetknął Łubce w usta swój chudy i brudny łokieć.

— Udław się, katorżnico jedna — powiedział i splunął w kąt. Łubka pottrzymała w ustach cudzy łokieć, potem wyjęła go, zamknęła drzwi na klucz i wyszła na dziedziniec. Czekał już tam na nią mister Trotty-burn, przypominający kolumnę z rudego mięsa. Mister Trottyburn był starszym mechanikiem na „Plutarchu”.

Przywiózł ze sobą do Łubki dwóch marynarzy. Jeden z marynarzy był Anglikiem, drugi zaś Malejczykiem. Wszyscy w trójkę przytaszczyli na podwórze kontrabandę przywiezioną z Port Saidu. Skrzynia była ciężka, opuścili ją na ziemię i ze skrzyni

wypadły cygara, które zaplątały się w japońskim jedwabiu. Mnóstwo bab zbiegło się do skrzyni i dwie wędrownie Cyganki, z kołysaniem i pobrzękiem, zabrały się do podchodów z boku.

85

— Precz, hołoto! — krzyknęła na nie Łubka i zaprowadziła majtków w cień pod akacje. Siedli tam za stołem, Jewzel podał im wina i mister Trottyburn rozpakował swoje towary. Wydobył z tobołka cygara i cienkie jedwabie, kokainę i pilniki, nie frankowany tytoń ze stanu Virginia, czarne wino kupione na wyspie Chios. Każdy towar miał swoją cenę, każdą cyfrę zapijano besarabskim winem, o zapachu słońca i pluskiew. Zmierzch przebiegł po dziedzińcu, zmierzch przebiegł jak wieczorna fala po szerokiej rzece i pijany Malajczyk pełen podziwu tknął palcem pierś Łubki. Tknął ją jednym palcem, a potem wszystkimi palcami po kolei.

Żółte i czułe jego oczy zwiły nad stołem jak papierowe lampiony na chińskiej ulicy; zaśpiewał coś ledwie dosłyszalnym głosem i upadł na ziemię, gdy tylko Łubka pchnęła go pięścią.

— Patrzcie go, jaki mądry — powiedziała o nim Łubka do mistera Trottyburna — ostatnie krople mleka tracę przez tego Malejczyka, a tu jeden Żyd już mnie za to mleko chce zeżreć.

I pokazała palcem na Cudeczkisa, który stojąc w oknie prał sobie skarpetki. Mała lampka kopciła w izbie u Cudeczkisa, cebe-rek jego pienił się i musował.

Cudeczkis wychylił się z okna, czując, że o nim mowa, i krzyknął z rozpaczą:

86

— Ratujcie, ludzie! — zawołał i zamachał rękoma.

— Sza, głupia mordo! — zaśmiała się Łubka. — Sza!

Rzuciła w starego kamieniem, ale za pierwszym razem nie trafiła. Kobieta chwyciła wówczas pustą butelkę po winie, ale mister Trottyburn, starszy mechanik, odebrał jej butelkę, wycelował i trafił w otwarte okno.

— Miss Łubka — powiedział starszy mechanik wstając i starając się zebrać do kupy pijane swoje nogi — wielu porządnych ludzi przychodzi do mnie, miss Łubka, po towar, ale ja nikomu go nie daję, ani mistero-wi Radowi, ani misterowi Kupczykowi, nikomu, prócz pani, a to dlatego, że miło mi z panią się gawędzi, miss Łubka...

I próbując trzymać się prosto na chwiejnych swoich nogach, wziął pod pachy obu majtków, jednego Anglika, drugiego Malajczyka, i zaczął z nimi taniec na ostyglým dziedzińcu.

Ludzie z „Plutarcha” tańczyli w milczeniu pełnym znaczeń. Pomarańczowa gwiazda opadła aż na skraj widnokregu i patrzyła na nich bez mrugnięcia. Później marynarze dostali pieniądze, wzięli się pod ręce i wyszli na ulicę kołysząc się tak, jak się kołysze « wisząca latarnia na statku. Z ulicy widzieć mogli morze, czarną wodę Zatoki Odeskiej, dziecinne flagi na tonących masztach i prze-

nikliwe ognie, zapalone w szerokiej otchłani. Łubka odprowadziła swoich tancerzy aż do przejazdu; została sama na pustej ulicy, zaśmiała się do własnych myśli i wróciła do domu. Zaspany chłopak w perkalowej koszuli zamknął za nią wrota. Jewzel przyniósł gospodyni dzienny utarg i Łubka poszła spać do siebie na górę. Drzemała już tam Pesia--Mindł, rajfurka, Cudeczkis zaś bosymi nożynami kołysał dębową kolebkę.

— Zadręczyłaś nas wprost, Łubko, kobieto bez sumienia — powiedział i wyjął dziecko z kołyski — ale ucz się ode mnie, ty wyrodna matko...

Przystawił gęsty grzebień do piersi Łubki i położył synka do jej łóżka. Dziecko przylgnęło do matki, trafiło na grzebień i zapłakało. Wtedy stary podsunął mu smoczek, ale Dawidek odwrócił głowę od smoczka.

— Co za czary nade mną wyprawia ten stary oszust? — mruknęła Łubka zasypiając.

— Milcz, paskudna matko! — odpowiedział jej Cudeczkis — milcz i ucz się, i żeby cię lichy wzięło.

Dziecko znów ukłuło się o grzebień, niechętnie wzięło smoczek i zabrało się do ssania.

— Proszę — powiedział Cudeczkis i zaśmiał się — odstawiłem dziecko od piersi, niech się pani uczy ode mnie, bierz panią lichy...

Dawidek leżał w kolebce, ssał smoczek

i puszczał bańki z błogości. Łubka obudziła się, otwarła oczy i znów je zamknęła. Zobaczyła syna i księżyc dobijający się do jej okna. Księżyc harcował wśród czarnych obłoków jak zabłąkany cielak.

— No dobrze — powiedziała wówczas Łubka — otwórz Cudeczkisowi drzwi, Pesiu--Mindł, i niech on tu przyjdzie jutro po funt amerykańskiego tytoniu.

I następnego dnia Cudeczkis przyszedł po funt nie clonego tytoniu ze stanu Virginia. Otrzymał tytoń i jeszcze ćwiartkę herbaty na dodatek. A po tygodniu, kiedy przyszedłem do Jewzela kupować gołębie, zobaczyłem nowego rządcę w gospodarstwie Łubki. Był drobniutki jak nasz rabin Ben Zcharia. Tym nowym rządcą był Cudeczkis.

Wytrwał na tym stanowisku piętnaście lat i przez ten czas usłyszałem o nim mnóstwo historii. I jeśli potrafię, to opowiem je wszystkie po kolei, bo to bardzo ciekawe historie.

Tłum. Jerzy Pomianowski

o

cl

p

Pocałunek

W początkach sierpnia sztab armii przerzucił nas dla przegrupowania do Budziatycz. Zajęte przez Polaków w początku wojny — wkrótce zostały przez nas odbite. Brygada wpełzła do miasteczka o świcie; ja przyjechałem w dzień. Lepsze kwatery były już zajęte, trafiłem do nauczyciela miejscowej szkoły. W niskim pokoju, pośród kadzi z owocującymi cytrynowymi drzewkami, siedział w fotelu sparaliżowany starzec. Na głowie miał tyrolski kapelusz z piórkiem, siwa broda opadała na pierś osypaną popiołem. Mrugając oczami, wymamrotał jakąś prośbę. Umyłem się, poszedłem do sztabu i wróciłem w nocy. Miszka Surowcew, ordy-nans, Kozak orenburski, zameldował mi o sytuacji: prócz sparaliżowanego starca obecna również okazała się jego córka Tomi-lina, Elżbieta Aleksiejewna, i jej pięcioletni synek Misza, imiennik Surowcewa; córka żyje we wdowieństwie po oficerze zabitym w czasie wojny z Niemcami, prowadzi się przykładowie, lecz porządnemu człowiekowi, według informacji Surowcewa, może się zaoferować.

— Oblatwi się — powiedział, wyszedł do kuchni i zaczął tam brzęczeć statkami, córka

93

nauczyciela mu pomagała. Kucharując Su-rowcew opowiedział jej o mojej odwadze, o tym, jak w walce zwałem z siodła dwóch polskich oficerów i jak szanuje mnie władza sowiecka. Odpowiadał mu powściągliwy, cichy głos Tomiliny.

— Ty gdzie sypiasz? — zapytał ją Su-rowcew na pożegnanie. — Połóż się gdzieś bliżej nas, żywi ludzie jesteśmy...

Wniósł do pokoju jajecznicę na gigantycznej patelni i postawił ją na stole.

— Zgadza się — powiedział siadając — tylko nie okazuje...

W tej samej chwili rozległ się w domu przyciszony szept, szelest, ciężka, ostrożna bieganina. Nie zdążyliśmy zjeść wojennego posiłku, gdy do domu zaczęli ciągnąć starcy o kulach, staruszki, po głowę zakutane w szale. Łóżko małego Miszy przeciągnęli do stołowego pokoju, do cytrynowego gaju obok fotela dziadka.

Słabosilni goście, gotowi bronić czci Elżbiety Aleksiejewny, skupili się w gromadę jak owce w czas niepogody i zabarykadowawszy drzwi, przez całą noc bezszelestnie grali w karty, szeptem licząc wpadki i drętwiąjąc przy każdym szmerze. Za tymi drzwiami nie mogłem zasnąć, było mi przykro i niezręcznie, tak że ledwo doczekałem się świtu.

— Proszę przyjąć do wiadomości — rzekłem spotkawszy Tomilinę w przedpokoju

— proszę przyjąć do wiadomości, że skończyłem

94

wydział prawny i należę do tak zwanych ludzi inteligentnych.

Stanąła jak wryta, opuściwszy ręce, ubrana w staromodną talmę, jak gdyby rzeźbioną na jej szczupłej figurze. Bez mrugnięcia patrzyły wprost na mnie rozszerzone, błyszczące łzami błękitne oczy.

Po dwóch dniach zostaliśmy przyjaciółmi. Strach i niewiedza, w jakich żyła rodzina nauczyciela, rodzina dobrych i słabych ludzi, były bezgraniczne. Polscy urzędnicy wmówili im, że Rosja skończyła się w dymie i w barbarzyństwie, podobnie jak niegdyś skończył się Rzym. Dziecinna, bojaźliwa radość ogarnęła ich, gdy opowiedziałem im o Leninie, o Moskwie, w której buszuje przyszłość, o Teatrze Artystycznym. Wieczorami przychodzili do nas dwudziestoletni bolszewicki generałowie z pomierzwionymi rudawymi brodami. Paliliśmy moskiewskie papierosy, zjadaliśmy kolację przygotowaną z wojskowych produktów przez Elżbietę Aleksiejewną i śpiewaliśmy studenckie pieśni. Przechyliwszy się w fotelu sparaliżowany słuchał chciwie, a tyrolski kapelusz drżał w takt naszej pieśni. Przez te wszystkie dni starzec żył gwałtowną, nagłą, niejasną nadzieją i ażeby niczym nie zamrozić swojego szczęścia, starał się nie dostrzegać w nas pewnego rodzaju przechwalania się krwiożerczością i donośnego prostactwa, z jakim rozstrzyga-

95

liśmy w tym czasie wszystkie sprawy świata i ta...

Po zwycięstwie nad Polakami — tak postanowiono na naradzie rodzinnej — Tomi-linowie przeprowadzą się do Moskwy: sta-] rego wyleczymy u znakomitego profesora-Alżbieta Aleksiejewna zapisze się na kursy, a Miskę oddamy do tej samej szkoły na Patriarszych Stawach, gdzie niegdyś uczyła się jego matka. Przyszłość wydawała się naszą niezaprzeczną własnością, wojna — burzliwym przygotowaniem do szczęścia, a samo szczęście — właściwością naszego charakteru. Nie ustalone były tylko jego szczegóły i na ich rozważaniu mijały noce, wspaniałe noce, gdy ogarek świecy odbijał się w mętnej butli samogonu. Elżbieta Aleksiejewna rozkwitała i była milczącą naszą słuchaczką. Nigdy nie widziałem istoty bardziej gwałtownej, wolnej i lękliwej. Wieczorami chytry Surowcew podwoził nas w zarekwirowanym jeszcze na Kubaniu wyplatany szarabanie ku wzgórzom, gdzie w ogniach zachodu świecił opuszczony dom księżąt Gąsiorowskich. Chude, ale duże i rasowe konie zgodnie kłusowały w czerwonych lejcach; beztroski koleczyk kołysał się w uchu Surowcewa, okrągłe wieże wyrastały z parowu zarosłego żółtym obrusem kwiatów. Rozbite mury rysowały na niebie krzywą linię, napęczniała rubinową krwią, krzak głogu ukrywał owoce, a błękitny stopień,

96

resztkę schodów, którymi wchodził tu kiedyś polski król, jaśniał wśród zarośli. Siedząc na tym stopniu przyciągnąłem pewnego razu głowę Elżbiety Aleksiejewny i pocałowałem ją. Odsunęła się powoli, wyprostowała i chwyciwszy

się dłońmi muru, oparła się o niego. Stała nieruchomo, wokoło jej ośleplej głowy kotłował się ognisty promień kurzu; potem drgnąwszy i jak gdyby wsłuchując się w coś, Tomilina podniosła głowę; palce jej oderwały się od muru, potykając się i przyśpieszając kroku — pobięła w dół. Zawołałem na nią, nie odpowiedziała mi! W dole, rozwalwszy się w wyplatany szarabanie, spał rumiany Surowcew. W nocy, gdy wszyscy zasnęli, zakradłem się do pokoju Elżbiety Aleksiejewny. Czytała, daleko odsunąwszy od siebie książkę; ręka, która upadła na stół, wydawała się nieżywa. Usłyszawszy stuk, Elżbieta Aleksiejewna odwróciła się i wstała.

— Nie — rzekła, wpatrując się we mnie — nie, mój kochany — i objąwszy moją twarz nagimi długimi rękami, pocałowała mnie coraz mocniejszym, nieskończonym, milczącym pocałunkiem. Brzęk telefonu w sąsiednim pokoju odepchnął nas od siebie. Dzwonił adiutant sztabu.

— Wyruszamy — powiedział przez telefon — rozkazano stawić się u dowódcy brygady...

Pobiegłem bez czapki, w biegu chowając

7 — Opowiadania...

97

po kieszeniach papiery. Z podwórzy wyprowadzono konie, w ciemności z krzykiem pędzili jeźdźcy. Od dowódcy brygady, który stojąc zapinał na sobie burkę, dowiedzieliśmy się, że Polacy przerwali front pod Lublinem i że kazano nam wykonać manewr obejścia. Oba pułki ruszały za godzinę. Starzec, obudzony, obserwował mnie niespokojnie spod listowia cytrynowego drzewa.

— Niech pan obieca, że wróciacie — powtarzał i trząsł głową.

Elżbieta Aleksiejewna, narzuciwszy kożuszek na batystowy nocny kaftanik, wyszła odprowadzić nas na ulicę. W mroku wściekle przemknął niewidzialny szwadron. Skręcając w pole obejrzałem się — Tomilina pochylona poprawiała kurtkę na chłopcu, który stał przed nią, a migotliwe światło lampy, stojącej na parapecie okna, spływało po jej delikatnym, suchym karku...

Przeszedłszy bez odpoczynku sto kilometrów połączyliśmy się z czternastą dywizją kawalerii i stawiając opór zaczęliśmy się cofać. Spaliśmy w siodłach. Na biwakach, rażeni snem, padaliśmy na ziemię, a konie naciągając cugle włożyły nas śpiących po skoszonym polu. Zaczynała się jesień i niedosłyszalnie mżące galicyjskie deszcze. Zbici w milczącą, najeżoną kupę kluczyliśmy i zataczaliśmy koła, dawaliśmy nura w zastawiony przez Polaków kocioł i wychodziliśmy z niego. Opuściła nas świadomość czasu.

98

Rozkładając się na nocleg w Tołszczeńskiej cerkwi nie pomyślałem nawet, że jesteśmy w odległości dziewięciu wiorstw od Budzia-tycz. Przypomniał mi o tym Surowcew, popatrzyliśmy na siebie.

— Sęk w tym, że konie ustały — rzekł wesoło — gdyby nie to, moglibyśmy pojechać...

— Nie można — odpowiedziałem — zauważą w nocy...

I pojechaliśmy. Do naszych siodeł przytroczone były prezenty: głowa cukru, rotunda na rudym futrze i żywe dwutygodniowe koźle. Droga szła przez chwiejący się, przemokły las, stalowa gwiazda błędziła w koronach dębów. W niespełną godzinę dojechaliśmy do miasteczka, wypalonego w środku, zawalonego białymi od mącznego pyłu ciężarówkami, armatnią uprzężą i połamanymi dyszlami. Nie schodząc z konia zastukałem do znajomego okna — przez pokój przepłynął biały obłok. Wciąż w tym samym batystowym kaftaniku ze zwisającymi koronkami Tomilina wybiegła na ganek. Gorącą dłonią wzięła mnie za rękę i wprowadziła do domu. W dużym pokoju na połamanych drzewkach cytrynowych suszyła się męska bielizna, jacyś obcy ludzie spali na łóżkach polowych, ustawionych jedno obok drugiego jak w szpitalu. Wysuwając brudne stopy, z wykrzywionymi ustami ochryple krzyczeli przez sen i oddychali

7»

99

chciwie i głośno. Dom zajęty został przez naszą komisję zdobyczy wojennych, a Tomi-linowie spędzeni do jednego pokoju.

—: Kiedy nas stąd wywieziecie? — ściskając mi rękę zapytała Elżbieta Aleksiejewna.

Starzec, zbudziwszy się, potrząsnął głową. Mały Misza, tuląc do siebie koźle, zanosił się szczęśliwym, bezgłośnym śmiechem. Nad nim, odąwszy się, stał Surowcew i wytrząsał z kieszeni kozackich szarawarów ostrogi, po-przebijane monety, gwizdek na żółtym skręconym sznurze. W tym domu, zajęтым przez komisję zdobyczy wojennych, nie było się gdzie skryć, przeszliśmy więc z Tomiliną do drewnianej przybudówki, gdzie na zimę składano kartofle i ramki z uli. Tam w komórce zdałem sobie sprawę, jak nieodwracalną, zgubną drogą była droga pocałunku, który się zaczął pod zamkiem książąt Gąsiorow-skich...

Niezdługo przed świtem zastukał do nas Surowcew.

— Kiedy nas wywieziecie? — patrząc w bok rzekła Elżbieta Aleksiejewna.

Przemilczałem i poszedłem ku domowi, aby się pożegnać ze starym.

— W tym sęk, że czasu brak — zaszedł mi drogę Surowcew — siadajcie, jedźmy...

Wypchnął mnie na ulicę i podprowadził konia. Tomiliną podała mi ostygłą dłoń. Jak zawsze trzymała głowę prosto. Konie, wy-począwszy przez noc, popędziły kłusa. W

İ00

czarnym gąszczu dębów wznosiło się ogniste słońce. Triumf poranku wypełniał całą moją istotę.

W lesie odsłoniła się przesieka, puściłem wolno konia i obejrzawszy się zawołałem do Surowcewa:

— Można było jeszcze pobyć... Za wcześnie zerwałeś...

— Wcale nie za wcześnie — odparł zrównawszy się ze mną i rozchylając ręką mokre, sypiące iskry gałęzie. — Gdyby nie stary, to bym jeszcze wcześniej was zerwał... Stary się rozgadał, zdenerwował się, chrząknął i zaczął się walić na bok... Podbiegłem do niego — patrzę, nie żyje. Przepaliło go...

Las się skończył. Wyjechaliśmy na zorane pole bez drogi. Surowcew uniósłszy się w siodle, rozglądając się po bokach i pogwizdując, węszył właściwy kierunek i we-tchnąwszy go wraz z powietrzem pochylił się i pogalopował.

Przyjechaliśmy w sam czas. W szwadronie budzono ludzi. Obiecując upalny dzień, przygrzewało słońce. Tego rana nasza brygada przekroczyła dawną granicę Królestwa Polskiego.

Tłum. Seweryn Pollak

Nafta

Nowin sporo, jak" zwykle... Szabsowicz dostał premię za rafinowanie ropy, chodzi tylko w zamorskich ciuchach, cała góra dostała awanse. Kiedy się o jego awansie dowiedziano, wszyscy nagle zrozumieli; ludzie rosną... Z tej też okazji przestałam się z nim widywać. Jak tylko „wyrósł”, facet uświadomił sobie, że zna prawdy, które nam, zwykłym śmiertelnikom, są niewiadome, i wpadł w taką stuprocentowość i ortodoksję (ortoboks, jak mawia Charczenko), że ani przystąpił... Zobaczyliśmy się przed dwoma dniami i ten pyta mnie, dlaczego mu nie wieszczę. Odpowiadam: komu wieszczę — jemu czy władzy radzieckiej?... Zrozumiał, stulił uszy i powiada: „Zadzwońcie kiedyś”... Zaraz to doszło do szanownej małżonki. I wczoraj — telefon. „Kławdiusza, my teraz mamy przydział do konsumu dla kierownictwa, jeżeli potrzeba ci czegoś z bielizny...” Odpowiedziałam, że spodziewam się doczekać światowej rewolucji ze swoim własnym przydziałem...

Teraz co do mnie. Dowiedz się zatem, że jestem kierowniczką biura Syndykatu Naftowego. Kroiło się to dawno, ale się wymawiałam. Moje argumenty — brak zdolności do

102

roboty biurowej, no i cnęć wstąpienia na politechnikę... Sprawę czterokrotnie stawiali na egzekutywie, trzeba było się zgodzić, teraz nie żałuję... Z tego miejsca widać jasno całe przedsiębiorstwo, coś niecoś udało się już zrobić, zorganizowałam ekspedycję na naszą część Sachalinu, rozszerzyłam prace poszukiwawcze, sporo czasu tracę na Instytut Naftowy. Zina jest przy mnie. Jest zdrowa, niedługo będzie rodzić, perypetii było sporo... Że jest w ciąży, Zina

zawiadomiła swojego Maksa Aleksandrowicza (ja go nazywam Maks i Moritz, jak ta para z bajki Buscha) późno, już była w czwartym miesiącu. Zagrał zachwyconego, wycisnął na czole Ziny lodowaty pocałunek, a potem dał do zrozumienia, że jest w przededniu wielkiego odkrycia naukowego, że myśli jego dalekie są od codziennych spraw, że nie sposób sobie wyobrazić czegoś mniej nadającego się do życia rodzinnego niż on, ale że oczywiście ani myśli od czegokolwiek się wymigiwać i tak dalej, i dalej, i dalej... Zina, jako kobieta dwudziestego wieku, rozplakała się, ale pokazała charakter... Całą noc nie spała, krztusiła się, przeżyła szyję. Skoro świt nie uczesana, straszna, w starej kiece poleciała do jego biura, nagadała mu, że prosi, aby zapomniał o tym, co wczoraj mówiła, że dziecko usunie, ale nigdy tego ludziom nie wybaczy. Wszystko to dzieje się na korytarzu Gipromezu, w największym ścisku. Maks 103

i Moritz to czerwieni się, to blednie i mamrocze:

— Trzeba się stelefonować, umówić... Zina nawet nie dosłuchała, przyleciała do mnie i oznajmiła:

— Jutro do pracy nie idę!

Mną aż zatrzęsło, krępować się nie uważałam za stosowne i rąbnęłam jej kazanie jak się patrzy... Pomyśleć tylko, dziewczucha dawno ma swojego trzydziestaka, urodą nie grzeszy, dobry chłop nawet się na nią nie wysmarka, zdarzył się ten Maks i Moritz (i to nie na nią polecał, tylko na inną rasę — na przodków arystokratów), złapałaś od niego ten upominek, to trzymaj, chowaj... Mieszkańcy z żydowskich ojców doskonale się udają, to znana rzecz — spójrz tylko, jaki egzemplarz jest u Ani — zresztą, kiedy ma rodzić, jeżeli nie teraz, kiedy mięśnie brzucha jeszcze działają, kiedy jeszcze można dziecko wykarmić?! Na wszystko —■ jedna odpowiedź: „Ja nie mogę tak, żeby moje dziecko nie miało ojca” — to znaczy dziewiętnasty wiek wciąż trwa, papcio-general wyjdzie z gabinetu z ikoną i wyklnie (albo bez ikony — nie wiem, jak to tam było z tym wyklinaniem), a dziewczki służebne już tam zaniosą niemowlę do podrzutków albo na wieś na garnuszek...

— Zina, to bzdury — powiadam do niej — inne czasy, inne pieśni, obejdziemy się bez Maksa i Moritza...

104

Nie zdążyłam skończyć, jak wezwano mnie na zebranie. W tym momencie stanęła na ostrzu noża sprawa Wiktora Andrejewi- cza. Akurat nadeszła decyzja KC w sprawie zmiany poprzedniego wariantu pięciolatki i konieczności doprowadzenia w 1932 roku wydobycia ropy do czterdziestu milionów ton. Opracowanie materiałów zlecono planistom, to znaczy Wiktorowi Andrejewiczo-wi. Zamknął się u siebie, potem wzywa mnie i pokazuje list. Adres — do Prezydium Wszechzwiązkowej Rady Gospodarki Narodowej.

Treść: zrzekam się odpowiedzialności za dział planowania. Cyfrę czterdziestu milionów ton uważam za oznaczoną dowolnie. Więcej niż jedna trzecia ma pochodzić z obszarów jeszcze nie zbadanych, co oznacza dzielenie skóry na niedźwiedziu nie tylko nie ubitym, ale jeszcze nawet nie wytropionym... Dalej, z trzech rafinerii ropy czynnych obecnie przeskakujemy wedle nowego planu na sto dwadzieścia w ostatnim roku pięciolatki. I to przy niedoborze metalu i w sytuacji, gdy skomplikowana budowa rafinerii nie jest przez nas opanowana... List kończył się tak: podobnie jak wszyscy śmiertelnicy jestem zwolennikiem szybkiego tempa, ale poczucie obowiązku... i tak dalej, i tak dalej.

Przeczytałam. Ten mnie pyta:

— Posłać czy nie? Ja powiadam:

— Towarzyszu, wasze argumenty i całe

105

nastawienie mi nie odpowiadają, ale nie jestem w stanie radzić komukolwiek, by ukrywał swoje poglądy...

List został wysłany. Rada Gospodarki — huzia. Zwołano zebranie. Z ramienia Rady przyjechał Bagrinowski. Na ścianie zawieszono mapę Związku z nowymi źródłami, z walcownikami rur, z rurociągami dla ropy i pochodnych; jak powiedział Bagrinowski: Kraj z nowym krwiobiegiem...

Na zebraniu młodzi inżynierowie z gatunku „wszystkożernych” domagali się rzucenia Wiktora Andrejewicza na kolana. Przemawiałam, mówiłam 45 minut.

„Nie mając wątpliwości co do wiedzy i dobrej woli profesora Kłossowskiego i nawet chyląc przed nim głowę, odrzucamy fetyszizm cyfr, któremu ulega” — oto myśl, której broniłam.

— Odrzućmy tabliczkę mnożenia jako zasadę myśli państwowej... Czy można było na podstawie gołych cyfr powiedzieć, że wypełnimy zadania naftowej pięciolatki, jeśli chodzi o wydobycie, w ciągu dwóch i pół lat? Czy można było na podstawie gołych cyfr powiedzieć, że z początkiem 1931 roku zwiększymy eksport dziewięciokrotnie i wysuniemy się na drugie miejsce po Stanach Zjednoczonych?

Po mnie wystąpił Muradian z krytyką kierunku rurociągu Morze Kaspjskie— Moskwa. Wiktor Andrejewicz w milczeniu robił notatki. Na policzkach wykwitł mu starczy ru-

106

mieniec, rumieniec żywej Krwi... r,ai mi się zrobiło, nie dosłuchałam do końca, poszłam do siebie. A tu Zina wciąż siedzi w gabinecie ze splecionymi dłońmi.

— Będiesz rodzic — pytam — czy nie? Ta patrzy i nic nie widzi, chwieje się, zaczyna mówić, ale jak bez głosu.

— Kławdiusza, nas jest dwoje — powiada mi — ja i moje nieszczęście, jakby mi garb przyklejono... Jak prędko się wszystko zapomina, proszę, już nawet nie pamiętam, jak to się żyje bez nieszczęścia...

Mówi to, a nos jej się jeszcze bardziej wydłużył, poczerwieniał, chłopskie skuły (u szlachty zdarzają się takie skuły) sterczą. Maks i Moritz, tak sobie pomyślałam, nie bardzo by się rozpałił, gdyby cię w takim stanie zobaczył... Rozwrzeszczałam się i przepędziłam ją do kuchni, do skrobania kartofli... Nie śmieję się, jak przyjedziesz, to i ciebie zaprzęgniemy. Na projektowanie zakładów w Orsku dano takie terminy, że pro-jektownia i kreślarze siedzą dzień i noc, na obiad Wasjena naskrobie im kartofli ze śledziem, nasmaży jajecznicę — i prują dalej... Poszła więc do kuchni. Po minucie słyszę krzyk. Przylatuję — a tu moja Zina na podłodze, bez tętna, białka widać... Natyra-liśmy się przy niej, że niepodobna: Wiktor Andrejewicz, Wasjena i ja. Wezwało się lekarza. Do przytomności wróciła w nocy, dotknęła mojej ręki, ty znasz Zinę, tę jej

107
niezwykłą delikatność... I widzę, że wszystko w niej przepaliło się w ciągu tych godzin i wszystko narodziło się od nowa... Nie wolno było tracić czasu...

— Zinka — powiadam — więc zadzwonimy do Rozy Michaj łowny (ona po dawnemu jest u nas nadworną specjalistką od tych rzeczy), że rozmyślałaś się, że nie przyjdiesz... Czy można zadzwonić?

Dała znak, że można, idź. Na kanapie obok niej siedział Wiktor Andrejewicz, wciąż mierzyła tętno. Odeszłam, ale słyszę, co mówi:

— Mam 65 lat, Zino, mój cień coraz słabiej kładzie się na ziemi. Jestem uczonym starym człowiekiem i oto Bóg (wciąż ten Bóg) tak zrządził, że ostatnie pięć lat mego życia przypada na tę — no, przecież wiecie — tę pięciolatkę. Teraz już do samej śmierci ani mi odpocząć, ani pomyśleć o sobie... I gdyby wieczorami nie przychodziła moja córka i nie klepała mnie po ramieniu, gdyby synowie nie pisali do mnie listów, to byłoby mi tak smutno, że nie da się powiedzieć... Zdecydujcie się na to dziecko, Zino, my z Kławdią Pawłówną obejmiemy patronat.

Staruszek sobie mruży, a ja dzwonię do Rozy Michajłowny, że tak a tak, najmiłsza Rozo Michajłowno, ta Muraszowa, co to miała przyjść jutro, to się jednak rozmyśliła... A w telefonie dziarski głosik:

— Świetnie, że się rozmyśliła, wręcz cudownie...

108

Nasza nadworna nic się nie zmieniła, jedwabna różowa bluzeczka, angielska spódnica, ondulacja, prysznic, gimnastyka, pełno gachów...

Zinę przewieziono do domu, okryłam ją dobrze, zaparzyłam herbaty. Spałyśmy razem — przy okazji popłakało się, wspomniało to, co nie trzeba, wszystko się obgadało i jakoś się zasnęło mieszając wspólne łzy... Mój „czart” siedział spokojnie, pracował, tłumaczył z niemieckiego techniczną książkę. Ty byś, Daszo, „czarta” nie poznała — spo-korniał, nastroszył się, przycichł. Mnie to męczy...

Cały dzień zgina grzbiet w Gospla-nie, a wieczorem — te tłumaczenia.

— Zina będzie miała dziecko — powiadam mu. — Jak ma być chłopcu na imię? (O dziewczynce nikt nawet nie myśli). — Zdecydowaliśmy się na Iwana — Jurkowie i Leonidy — to już się uprzykszyło... Będzie z niego ani chybi kawał hultaja, z ostrymi zębami, zębów będzie miał za sześćdziesięciu. Paliwa mu naszykowaliśmy dość, będzie woził panny choćby do Jałty, do Batumu, nie to co za naszych czasów — na podmiejskie Wróble Góry... Do widzenia, Daszo. „Czart” napisze oddzielnie. Co u Ciebie?

Kławdia

...Skrobie tu u siebie w biurze, nad głową rumor, tynk leci z sufitu. Nasz dom, jak się okazuje, jeszcze jest mocny, do dawnych

109

trzech pięter dodajemy jeszcze cztery. Moskwa cała rozkopana, porznięta rowami, zawałona rurami, ceglami, linie tramwajowe poplątane, wywijają słoniowymi trąbami przywiezione z zagranicy maszyny, ubijają grunt, łomoczą, czuć smołę, dym wali jak nad pogorzelskiem... Wczoraj na Warwar-skim placu widziałam jakiegoś chłopaka... Gęba szeroka, czerwona, golona głowa aż błyszczy, ruska koszula bez pasa, sandały na bosą nogę. Skakaliśmy z nim z kępy na kępę, z górki na górkę, co się człowiek wygramoli, to znów pada na pysk...

— O, teraz cała bitwa się zaczęła — ten mi powiada — teraz, panienko, w Moskwie cały front, cała wojna...

Gęba dobra, uśmiecha się jak dziecko. Wciąż jakbym go przed sobą widziała...

Tłum. Jerzy Pomianowski

Spis rzeczy

ARMIA KONNA

List — tłum. Jerzy Pomianowski . . . ~. -. 1

Sól — tłum. Marian Toporowski 14

Historia jednego konia — tłum. Wiktor Woroszyński

20

Historii jednego konia ciąg dalszy — tłum.

Wiktor Woroszyński , ... 26

Wdowa — tłum. Jerzy Pomianowski . . • • 29

OPOWIADANIA ODESKIE

Król — tłum. Jerzy Pomianowski . ; • • 39 Tak to robiono w Odessie

— tłum. Jerzy Pomianowski 50 Ojciec — tłum.

Jerzy Pomianowski . . ; 65 Łubka Kozak — tłum. Jerzy Pomianowski

. 80

OPOWIADANIA

Pocałunek — tłum. Seweryn Pollak ... 93 Nafta — tłum. Jerzy Pomianowski

... 102

*

Bedaktor techn.: J. Twlerdziańsk Korektor M. Kowalski
Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa — Książka — Ruch” Wydawnictwo
„Książka i Wiedza” Warszawa, wrzesień 1973 r. Wyd. I. Nakład 65 000+260 egz.
Obj. ark. wyd. 3,2. Obj. ark. druk. 7,0 (4,7). Papier druk. mat. ki. V, 70 g, 92X114
cm Oddano do składania 5.VII.1973 r. Podpisano do druku we wrześniu 1973 r.
Druk ukończono we wrześniu 1973 r. Łódzka Drukarnia Dzielowa Łódź, ul.
Rewolucji 1905 r. nr 45 Zam. nr III1/A/73. R-22. Cena zł 6.—
Osiem tysięcy sześćset siedemdziesiąta druga publikacja „KiW”